

KUŹNICA

Rok IV

Łódź, 23 maja 1948 r.

Nr 21 (142)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

JAN KOTT

KONFITURY

Profesorowi Józefowi Chałasińskiemu

„Nie będziesz miała posagu, moje dziecko, twój ojciec go stronił. Ubogie panny z trudem wychodzą za mąż.”
(„Księżniczka”)

KONKURS NA IDEAL MIESZCZANSKI

W ROKU 1882 przełożone prywatnych pensji w Warszawie, pragnąc uczcić pamięć Pauliny Krakowskiej, ogłosiły w „Tygodniku Ilustrowanym” konkurs na dzieło w formie powieści lub pamiętnika, przedstawiającego obraz i wzór dojrzałej kobiety na tle stosunków społecznych, potrzeb chwili bieżącej i wymagań zdrowo pojmowanego postępu. Szło o okazanie dodatkich i ujemnych stron życia społecznego, wypowiedzenie pragnień i zawodów, przedstawienie walki z okolicznościami i z samą sobą, o wzruszenie i rozgrzanie, zatem zbudzenie za pomocą uczucia szlachetnych dążeń i postanowień. Kobieta przedstawiona być miała na polu właściwego jej działania w rodzinie lub poza jej obrębem, a osoby wychodzące do dzieła, winny były należeć przeważnie do średniej klasy społeczeństwa polskiego, będącej najlepszym przedstawicielem bytu narodowego, do której też należy głównie młodzież żeńska, dziełko żądane czytać mająca.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpiło w roku 1885. Sąd konkursowy, do którego weszli zarówno postępowcy jak i wyraziciele opinii umiarkowanej: Maria Ilnicka i Jadwiga Sikorska, ksiądz Zygmunt Chelmiński, Piotr Chmielowski i Florian Bagowski, nagrodził powieść Zofii Urbanowskiej „Księżniczka”.

Mamy oto klasyczny przykład zamówienia społecznego. Konkurs na mieszczański ideał dziewczęcia spełnił swoje zadanie. „Księżniczka” od razu zdobyła ogromne powodzenie i potrafiła je utrzymać (mam przed sobą ósme wydanie z r. 1927 i bodaj, że nie ostatnie), przez lat bezmiana pięćdziesiąt. Już chociażby z tego względu ten „kopciuszek” literatury pozytywistycznej zasługuje na bacniejszą uwagę, zacytywały się nim przecież co najmniej trzy pokolenia dziewcząt. Literatura dydaktyczno-moralizatorska aż prosi się o analizę socjologiczną. I trudno o lepszy przykład gatunku jak „Księżniczka” Zofii Urbanowskiej. Funkcję społeczną książki określił ściśle program na powieść pouczającą dla dorastających panienek. Miała ona wypełnić rolę podręcznika moralności, stworzyć społeczno-obywatelski wzór dla kobiet „ze średniej klasy społeczeństwa polskiego”.

Adresat jest jednak tylko pozornie jasny: średnia klasa. Ale czym była ta średnia klasa? Nie jest na to pytanie tak łatwo odpowiedzieć. Jedno jest tylko pewne, że zaczęła w bojowym okresie warszawskiego pozytywizmu, a trwająca blisko dwadzieścia lat wielka dyskusja o moralności, wychowaniu, pracy zawodowej i emancypacji kobiet, dotyczyła właśnie owej średniej klasy. Dla niej przeznaczone były i o niej mówiły broszury i rozprawki poczynając od „Wychowania kobiet” Józefa Dobieszewskiego (1871), poprzez „Kilka myśli o wychowaniu i kształceniu niewiast naszych” Anastazji Dzieduszyckiej (1874), Prądzińskiego „O prawach kobiety” (1872), Świętochowskiego „O średnim kształceniu kobiet” i tyłu innych, aż do głośniejszych powieści: Jeża „Emancypowana” (1873), Kraszewskiego „Szalona” (1880), Orzeszkowej „Marta”, Prusa „Emancypantki”.

A jednocześnie jak podaje Światłowski liczyła kobiet, zatrudnionych w przemyśle wynosiła 37,2 procent ogólnej liczby robotników Królestwa. O tych kobietach, ich walce o byt i konfliktach ani w dyskusjach ani w powieściach współczesnych nie znajdujemy ani jednego słowa. Dopiero potem wejście do powieści... Magdalenka. Problem emancypacji był zupełnie ściśle ograniczony klasowo; dotyczył panny z dobrego domu. Znowu wracamy do klasycznego procesu: społecznej i ekonomicznej degradacji pańszczyźnianego dworku szlacheckiego. Jest to przynajmniej jedyny proces społeczny, który znalazł swoje pełne odbicie w literaturze.

Nawet i w pamiętnikach. Mam właśnie pod ręką „Wspomnienia” Ludwika Krzywickiego. Czytam: „Katastrofa dworów wlejskich całkowicie tkwiła w nieprzygotowaniu ich do stawienia czoła skutkom uwłaszczenia. Sprzedając na parcelację była dobrowolnym opuszczeniem majątku. Były i niedobrowolne wyjęcia. Jedne i drugie wyrzucały na bruk miejski ludzi może rutynowanych, ale umiających krzątać się na roli. Znaleźć zarobek było im ciężko i nie mieli żadnego fachu w

reku, ze szkół wyszli z jakiej III, IV, V klasy, ale z bardzo małym zasobem nauki. Imali się różnych zajęć. Ustosunkowani czepiali się Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, jedynej instytucji polskiej w Płocku mogącej dać utrzymanie w owych czasach. Inni, a właściwie ich żony, otwierają stancję, czy biorą kilku czy kilkunastu uczniów ze wsi. W ten sposób pokrywają koszty całego mieszkania i mają dla siebie utrzymanie. Niektóre z pań otwierają sklepiki, a z tych sklepików pocnie się niebawem pierwszy powiew antysemityzmu. A kiedy otworzono kolej nadwiślańską z Warszawy do Mławy, żartowano, iż obsługują ją konduktorzy spośród zbankrutowanej szlachty miejscowej...”

Stąd i cała emancypacja. W warunkach Królestwa Kongresowego to po prostu sprawa bezposadnej panny, która wprost z pańszczyźnianego dworku znalazła się na miejskim bruku, gdzie trzeba było domowe talenty zamienić na zarobkową pracę.

Tę też zaczyna się i „Księżniczka”. Matka bohaterki była jeszcze córką magnata, ojciec zamożnym obywatelem miejskim, którego „burza, wstrząsająca do gruntu całym krajem, pozbawiła dziedzicznej własności... został mu jednakże kapitał, z którym osiadł w miasteczku, kupiwszy sobie dom z ogrodem”. Ten ogród, jak się dowiadujemy potem, to była włoka gruntu, ale mniejsza z tym, szacunek własności nie był wtedy tak drobiazgowy. Pan Marcin Orecki zostaje agentem domu handlowo-komisowego. Przyspiesza to tylko ruiny gospodarczą rodzinę. Lekkomysłny szlachcic szafuje zaliczkami i kredytami, a do tego jeszcze konkurencja zboża amerykańskiego podcina całkowicie obroty agentury handlu zbożem. Agentura zostaje zlikwidowana, posag córki roztrwoniony.

Ekspozycja, jak widzimy prawidłowa. Kobieta ze „średniej sfery” jest wnuczką magnata i córką zrujnowanego szlachcica. Tradycjom polskiej powieści stało się zadość. Adresat społeczny jest wyjaśniony. Pozostaje teraz sprawa druga: ideał mieszczański. Bohaterka książki, lekkomysłna córka rozrutnego szlachcica ocali rodzinę i wyjdzie stosownie za mąż po przejściu mieszczańskiej edukacji w domu zamożnego kupca warszawskiego pana Radlicza.

KATECHIZM MIESZCZANSKI

„Księżniczka” nauczyć się musi trzech kardynalnych cnót mieszczańskich: pracowitości, oszczędności i porządku.

A więc naprzód praca: „Głos jakiś wewnętrzny powiedział jej, że ta praca, która daje trud we dnie, słodkim czyni odpocznęnek w nocy, że ona hartuje serce, drżące przed niedostatkiem, a przynębnym umysłem przywraca jasność i pogodę... Zrozumiała, że rozpromienienia tego źródłem jest praca, dająca zarobek i oszczędność, pozwalająca gromadzić. Z czego powstała fortuna Omana jeśli nie z pracy i oszczędności? A upadku fortuny jej ojca, co było powodem? Ach, nie tylko chęć pomagania drugim, ale i nieoszczędność w wydatkach, ale życie nad stan, czuła to dobrze w tej chwili”.

Tej pracy, która pozwala oszczędzać i gromadzić, błogosławi oczywiście sam Pan Bóg.

Syn firmy z nasionami, na propozycję „księżniczki”, aby popatrzyć w niebo i pomarzyć, odpowiada niezłomnie: „Nie pani, bo zdawałoby mi się, że niebo mówi do mnie: spełnienie twoich pragnień od ciebie samego zależy. Zamiast patrzeć we mnie z założonymi rękami weź się raczej do pracy nad urzeczywistnieniem ich. Pan Bóg złożył w duszach naszych pierwiastki sił, potrzebnych do wytworzenia sobie dobra i szczęścia — nie go dzi się więc żądać jeszcze od niego, żeby oddał za nas całą robotę”.

Nie mogą sobie odmówić przyjemności czytowania tutaj jeszcze jednego tekstu, tym razem bardzo dawnego.

„Jeżeli Bóg wskazuje wam drogę, na której bez grzechu dla waszej duszy i bliźnich, drogą sprawiedliwą możecie zarabiać więcej, niż na innej drodze, a wy odmówicie i wybierzećcie drogę dającą mniejsze dochody, odrzucicie wtedy jeden z celów waszego powołania, przestaniecie być posłusznymi Bogu i wdzięcznym sercem przyjmować jego dary, aby móc je pomnożyć, kiedy On tego zażąda. Oczywiście nie dla cielesnego zadowolenia albo grzechu, lecz dla Boga powinniście pracować, aby pomnożyć wasze bogactwo”. Tak w roku 1850 w książce „Saint's Everlasting Rest” pisał Ryszard Baxter, wielki purytański kaznodzieja. Minał właśnie rok od chwili, kiedy purytanie ucieli głowę królów i Ryszard Baxter dowodził wojskami parlamentu. Po dwustu latach z okładem groźne dziedzictwo purytań w biednym Królestwie Kongresowym reprezentują zacięci Radliczowie, właściciele handlu nasionami.

„Z zasady potępiam wszelkie marnotrawstwo — uczy lekkomysłna księżniczka matrona sklepu z nasionami — czy ono wielkich czy małych dotyczy rzeczy... Firma Radlicz stoi dziś w rzędzie zamożnych instytucji tego miasta i rozwija się coraz bardziej i zdziwi się pani pewnie, gdy ci powiem, że wszystkiego, co posiadamy dorobiliśmy się własną pracą. Ale praca obróciłaby się w niwecz gdyby jej nie towarzyszyła oszczędność. Drobiazgów nie lekceważyliśmy, szanowaliśmy grosze i dlatego rozporządzamy dziś setkami tysięcy. Z nich one powstały... Marnowanie lekkomysłne tego, co się może zdać na jakikolwiek bądź użytek, jest grzechem. Czy przedmiot ma większą czy mniejszą wartość, czy kosztuje dukata czy grosz, to wszystko jedno; tak czy owak, jest on owocem pracy ludzkiej, ludzkiego potu i wysiłku. Ponieważ więc nim, choćby to był tylko kawałek prostego mydła, jest to poniewierając życiem ludzkim”.

Oszczędność w tym kraju zaczynała się zawsze od mydła. W każdym razie mamy już dwie kardynalne cnoty mieszczańskie. Pozostaje jeszcze apoteoza rachunku i porządku, które dla właścicieli handlu nasionami urastają do symbolu harmonii społecznej, rodzinnego szczęścia i miłości. Słuchajmy cierpliwie nauk, jakie otrzymuje lekkomysłna córka rozrutnego szlachcica:

„Gdybyś pani chciała mnie uważać za swego przyjaciela, radziłbym ci rychlej nauczyć się rachować. Rachunek jest podstawą wszelkiego porządku społecznego, a więc i szczęścia w rodzinie. Jeżeli sympatia rodzi się z przekonania o wzajemnej wartości ludzi, to

Niechaj sobie Anglia poświęca wszystkie ludzkie prawa na ołtarz swego skarbcza... my korzystamy z tego, że nas żaden szachrajski interes do niegodziwości nie zmusza i zapiszmy swoją sympatię na sztandarach słowiańskich.

Aleksander Świętochowski

TREŚĆ NUMERU:

JAN KOTT —

KONFITURY

JEAN LARNAC —

ROMANTYZM JAKO KOMPLEKS REAKCJI

JADWIGA SIEKIERSKA —

O CHOROBAH WZROSTU KULTURALNEGO

STANISŁAW WYGODZKI —

OBYWATEL (dok. opowiadania)

FEDERICO GARCIA LORCA —

ROMANS LUNATYCZNY

STANISŁAW JERZY LEC —

ŚMIERĆ MOJA

CZESKA KSIĄŻKA W POLSCE

ANDRZEJ BRAUN —

„REPORTAŻ SPOD SZUBIENICY” — FUCZIKA

EWA KORZENIEWSKA —

O „KRAWĘDZI” RZECZACZA

JANINA PRĘGER —

„MIASTECZKO NA DŁONI”

JANINA PRĘGER —

„TURYSTA MIMO WOLI”

SEWERYN POLLAK —

O NOWEJ LITERATURZE BULGARSKIEJ

JELIZAWIETA BAGRIANA —

PENELOPA XX WIEKU

JOANNA GUZE —

POLONICA PARYSKIE

PRZEGLĄD PRASY

KORESPONDENCJA

NOTY

i miłość nie jest niczym innym jak tylko wzajemnym rachowaniem: dwójga ludzi na siebie, popartym wiarą, że żadne nie popełni omyłki”.

Piękny wykład mieszczańskiego katechizmu możemy uważać za skończony. Ale nie dlatego przecież zajmujemy się „Księżniczką”. Nawoływano do pracy, oszczędności, porządku i liczenia się z groszem nie brak publicystyce okresu. Nie na tym polega wartość „Księżniczki”. Niespodzianki dopiero się zaczynają. Dotychczas mieliśmy tylko typową sytuację społeczną i niedzielny katechizm. Teraz zobaczymy kostium ideologiczny.

MASKARADA

Kiedy najstarszy syn państwa Radliczów wynmiewa biedną księżniczkę za chęć posiadania fotelu w swoim pokoju („bez wszystkich można się obejść, ale jak tu żyć bez kanapy?”), otrzymuje odpowiedź zgola nieoczekiwaną: „Słyszac pana — mówi córka zbankrutowanego szlachcica, zdaje mi się, że mam przed sobą Dantona lub Marata i że lada chwila ujrzę błyszczyący nóż gilotyny. Może lepiej byłoby dla mego osobistego bezpieczeństwa, gdybym wstąpiła w ślady arystokracji francuskiej i szukała ratunku w emigracji”.

Każdy kraj ma Dantona na jakiego zasłużył. Warszawski Danton roku 1885 miał sklep z nasionami, odmawiał miłego fotelu szlachciance bez posagu i zmuszał ją aby przychodziła na ósmą do kantorku. Nic nie szkodzi. Maskarada trwa dalej. Popatrzmy na ten bal kostiumowy. Oto gospodarna mieszcza kreowana zostaje na rzymską matronę: „Pani Radliczowa siedziała w dużym krześle i cerowała starannie skarpetkę. Przed nią leżał duży stos tych skarpetek, jedne były pocerowane, porządnie wyciągnięte i złożone, drugie jeszcze wcale nieruszone... Lampka, spuszczająca się od sufitu, rzucała światło wprost na jej głowę, pochyloną nad robotą... Nie była to głowa piękna, ale każdy malarz byłby ją umieścił na swym płótnie, przypominając bowiem typy dawnych Rzymianek z najświetniejszych czasów Rzeczypospolitej. Tak niezawodnie wyglądała musiała matka Grakchów”.

Niewatpliwie matka Grakchów cerowała skarpetki. Ale skoro stara Radliczowa, zbierająca do woreczka okruszy chleba i skwapliwie gasząca niepotrzebne świece, została rzymską matroną, córki jej mogą być tylko spartankami: „Staralam się moje dziewczęta hartować, przyzwyczajałam do trudów i niewygód i dzięki tej metodzie wychowania, wyrosły na kobiety zdrowe, silne, nie chorujące prawie nigdy... Obie panny Radliczowskie były przystojne... podobne do siebie ze świeżości



David (1748—1825)
w epoce Stendhala



Alfons
w epoce Mniszkówny

cery, pogody spojrzenia i rozwinięcia kształtów... obie miały suknie z taniego wełnianego materiału, skrojone i uszyte z ładu spar-tańskiej prostoty...

W tym domu, gdzie najstarszy syn jest Dantonem, żona matka Grakchów, a córki — spartankami, służąca może być tylko hollenderską mieszczką z płócien Jordaensa; „była to niemłoda kobieta z dużą, pocziwą, ale poważną twarzą. Ubiór jej uderzał nadzwyczajną czystością, a białe starannie wyrurkowane czepek leżał na głowie jak ulany i noszony był z godnością”.

Skąd ta cała maskarada? „Tradycja wszystkich zmarłych pokoleń — pisał Marks w wielokrotnie cytowanym fragmencie z „18 Brumaire’a” — ciąży jak zmora na umysłach żyjących. I właśnie wówczas, gdy wydają się być zajęci tym, by dokonać przewrotu w sobie samych i w tym, co ich otacza, by stworzyć coś, czego nigdy nie było, w takich właśnie epokach kryzysu rewolucyjnego przywołują oni trwożliwie na pomoc duchy przeszłości, zapożyczają od nich imiona, hasła bojowe i szaty, ażeby w tym uświęconym przez wieki przebraniu i w tym zapożyczonym języku odegrać nowy akt historii świata. Tak Luter przywdziewał maskę apostoła Pawła, rewolucja lat 1789 — 1814 drapowała się kolejno w togę republiki rzymskiej i cesarstwa rzymskiego, a rewolucja 1848 roku nie umiała się zdobyć na nie lepszego, jak na parodiowanie już to roku 1789, już to tradycji rewolucyjnych lat 1793 — 1795”.

W szacie biblijnych proroków purytanie angielscy ścieli głowę swojemu królowi, to samo w kostiumie rzymskim zrobili ze swoim królem jakobini francuscy. Ale jakie zadania historyczne miał przed sobą warszawski sklepik w roku 1885? A jednak i ta maskarada nie była przypadkowa. Kapitalizm, ogarniając Królestwo, przekształcał nieubлагanie feudalną strukturę społeczną, przynosił kankorki handlu nasionami, gdzie szukały posady bezposadne panny z pańszczyźnianego niegdys dworku. Jest coś żalostnego, ale zarazem i prawdziwie wzruszającego w tej rekwizytoryjnej kostiumów z Zachodu, jaką wypożyczył sobie warszawski sklepik tej epoki. Kostiumy były na inną miarę, ale sklepik nie był temu winien. Pozytywizm warszawski był intelektualną rewolucją, na wyrast, ale oczyszczanie włóscian, wielki przemysł i u-zależnienie od obcego kapitału było rzeczywistością. Rewolucja techniczno — przemysłowa została przegrana, w latach osiemdziesiątych Królestwo było już krajem półkolonialnym. Ideologię pozytywizmu odziedziczył trzeci krag polskiego kapitalizmu — drobnomieszczaństwo. Stąd ten Danton, zabrakany do kantorki i matka Grakchów, cerująca pończochy. Sklepik uporać się musiał z heroiczną tradycją mieszczaństwa; jeszcze nie tak dawno Rzecki bił się o wolność ludów w powstaniu węgierskim, jeszcze przecież ciągle mówiło się o nauce, postępie i filantropii. Sklepik miał swoje historyczne zadanie do spełnienia. To on reprezentował polski kapitalizm.

POZYTYWIZM W DROBNOMIESZCZANSKIM WYDANIU

Kostium liberała trzeba było przykroć do własnych potrzeb. U wielkich powieściopisarzy

rzy epoki widzimy coraz większą sprzeczność pomiędzy materiałami, jaki czerpią z życia, a które przynoszą oskarżenie kapitalizmu, a ideologią narodowej solidarności i optymistyczną wiarę w szczęśliwy rozwój społeczny, której pragną pozostać wierni. W „Księżniczce” Zofii Urbanowskiej, tym najczystszy wzorze literatury dydaktyczno — moralizatorskiej, mamy tymczasem naiwne i bez żenady pokazany cały proces przykrojenia hasel pozytywistycznych do potrzeb polskiego drobnomieszczaństwa, jedynej bazy społecznej dla kapitalistycznej filozofii w Królestwie.

Oto solidaryzm i opieka nad niższymi warstwami w wydaniu rodzinnym. Służąca jest także człowiekiem... „Może rozporządzać swym czasem jak zechce i wolno jej iść na spacer, na wizytę, do teatru, gdzie jej się podobą, i nie wracać, aż wieczorem. Gdyby zaś wolała zostać w domu nie ma żadnego obowiązku usługiwać; może sobie przyjmować gości lub spać jeżeli ma ochotę. Każda służąca bywa wolna co drugą niedzielę”. Pani Radliczowa zbiera skrzętnie pozostawione okruszki chleba i rozdaje biednym. Filantropia staje się uniwersalnym lekarstwem na wszelkie krzywdy społeczne. Od czego prosty rachunek: „Gdyby tylko dwieście tysięcy mieszkańców Warszawy zostawiało dziennie po pół funta niedojedzonego chleba, to zrobi się z tego trzy tysiące sto dwadzieścia pięć funtów. Na rok wyniesie to nie do uwierzenia ogromną ilość, która jednak rachunek potwierdza... Otóż z owych pół funtów codziennych urosnie przez rok milion sto tysięcy sześćset dwadzieścia pięć funtów i po-gardzane, a raczej nieuszanowane resztki, mogą codziennie wyżywić z górą czterysta osób czyli dwieście rodzin licząc na osobę po trzy funty, co jest dostateczne nie tylko do uchronienia od głodowej śmierci, ale nawet do poctrzymania sił. Więc powiem: te nie znaczące półfunty, zbierane przez cały rok wystarczyłyby do nakarmienia w jeden dzień więcej, niż połowy ludności Warszawy, bo dla trzystu siedemdziesięciu dziewięciu tysięcy dziewięćset sześćdziesięciu pięciu osób”. Dokładność matki Grakchów jest rzeczywistością wzruszającą.

Pozostaje jeszcze praca organiczna. Ale praca organiczna, która przemieniła się w zwykłe groszorbstwo, urasta teraz do obowiązku patriotycznego: „Każdy grosz nie tylko jednostce, ale przez nią ogółom przynosi korzyść; gdy więc przepada najstarsza to razem z ową jednostką i ogół ponosi stratę. Kto więc nie bogaci kraju, ten go uboży, a kto go uboży, ten jest złym patriotą”.

I na zakończenie „Sagi polskich Forsytów” — konfitury. Księżniczka, pomimo mieszczańskiej szkoły życia w domu Radliczów zachowała jeszcze pewne wątpliwości, czy naprawdę w roku 1885 sprzedawanie nasion jest patriotycznym obowiązkiem. Pomógł jej na to dziedzic firmy taki toczy się dialog: „Mówiłeś pan, że trzeba czynem dowodzić swej miłości do kraju. Czy pan z patriotyzmu nie dla własnej korzyści produkujesz i sprzedajesz nasiona? Czy pańska siostra dla miłości ojczyzny i zarobienia sobie na nieśmiertelność smaży konfitury, że już nie mówię o podkładkach do bukietów, wyrabiających przez młodszą?”

— „Tak jest — pani... bo pieniądze, posyłane do Erfurtu, Gandawy i Kwedlinburga za nasiona, do Moskwy i Kijowa za konfitury, do Paryża za podkładki, w znacznej części pozostaną w kraju. Prawda, że my sami na tym korzystamy, ale korzysta niemniej kraj cały. Gdy jednostki się bogacą, wzrasta bogactwo narodowe. Moje siostry, biorąc się do przemysłu, weale dotąd u nas nieuprawianego, spełniły czyn obywatelski”.

Zostały konfitury. Tak właśnie wyglądał trzeci krag polskiego kapitalizmu. I trudno o bardziej dobitny przykład przegranej rewolucji techniczno — przemysłowej. W ciągu dwudziestu lat apologia bankierów, kapitalistów przemysłu i inżynierów zmieniła się w ideologię smażenia konfitur i wyrobu podkładki do bukietów. Konfitury ocaliły miły niezależność gospodarczą kraju. Konfitury.

Pozytywizm „księżniczki” — oto drugi etap kapitalistycznej — pozał się Boże! ideologii w Królestwie. Z walki z przeżytkami feudalizmu, z entuzjazmem dla oświaty i nauki, z wiarą w postęp społeczny i cywilizację, pozostały tylko konfitury. Sklepik dorobił się wreszcie własne, ideologii: smażenia konfitur jako patriotycznego obowiązku. Tylko świadectwem społecznego niedorozwoju, historycznego opóźnienia i rewolucji burżuazyjnej, która rozeszła się po kościach, pozostał kostium Dantona, przeobrażający bezposadne szlachcianki i matka Grakchów, cerująca skarpetki. W roku 1885 były to już tylko duchy przeszłości, które straszyły w kątach sklepiku.

KONIEC IDYLLI

Obraz społeczeństwa w „Księżniczce” namalowany jest według najlepszych wzorów liberalnych. Podziwiamy ładu bastiatowską harmonię społeczną, solidaryzm narodowy, który łączy się wdzięcznie z osobistym interesem jednostki, znacząc uczuć, zgodę rodziną i pomyślność obrotów handlowych. Maleńki wzór społeczeństwa mieszczańskiego, którego ideałem jest — jak pisał Marks — „powszechna mierność, czuła moralność i spokojny handel”. Między chlebobawcami a pracownikami panują idealne stosunki, oparte na doskonałym zrozumieniu wspólnych potrzeb. Państwo Radliczowie pozwalają służącej na swobodne spędzenie czasu co drugą niedzielę po południu. Wytrwała praca daje wewnętrzne zadowolenie, spokojny sen i lekkie trawienie. „Nawet obiady choć niewykwintne, zdrowe są i poślne”. Filantropia w postaci obdarowania biednych resztkami z obiadu wykazuje niezłomność, że społeczeństwo opiera się na jednolitości interesów. Nie ma nawet różnic narodowych: ojciec księżniczki opiekuję się ubogą żydówką, żydzi w małym miasteczku powstrzymują się solidarnie od licytowania mebli lekkomyślnego szlachcica, a zająca pani Radliczowa płacze, gdy „garstki pijanych włóczęgów i obalamuconych dzieci rozbiły bezkarnie po ulicach Warszawy sklepy żydowskie i niszczyły ich mienie”.

A jednak napór rzeczywistości społecznej był tak silny, że nawet autorka powieści dla podrażających panienek musiała zamazać pogodny nastrój doskonałej idylli. Harmonia społeczna obejmuje żydów, sklepikarzy i ziemian, nawet lekkomyślny szlachcic zabiera się do pożytecznej pracy, a marnotrawca i

hulaka oddaje długi. Ale w świecie tym nie mieści się już robotnik. Robotnik zacych państwa Radliczów „chce żyć kosztem pracy innych”, buntuje się i podpada magazynom. Oto do księżniczki, która podlega kwiatki, podchodzi żebrak. „Pierwszym wrażeniem jakiego doznała, był wstręt, ale łachmany obudziły jej litość. Sięgnęła do portmonetki”.

Tutaj kończy się mieszczańska filantropia. — „Nie dawaj mu, pani, ani grosza — woła syn firmy — Precz stąd, nędzniku! Nie pokazuj mi się na oczy, jeżeli nie chcesz, abym cię oddał w ręce strażników... On nie wart litości! Wypędziłem go stąd za próżniactwo i szerzenie ducha nieporządku między moimi robotnikami”.

Nawet pocziwy Feldman zauważył już, że „literatura okresu nigdy jeszcze nie widziała tak rozgniewanego tonu, jak ten, którym się tu mówi o typie i zagadnieniu robotniczym”. Przypatrzmy się tylko, jak wygląda robotnik we wzorowej powieści dla panienek „ze średniej sfery”.

„Był to mężczyzna jeszcze młody z twarzą bladą, nabrzmiałą i chytym spojrzeniem małych, ustawicznie biegających oczu, nie zgadzających się ani z płaczącym głosem, ani z pokornie zgłębioną postawą...”. I jeszcze: „Przyłożyła oko do szpary w parkanie i zobaczyła twarz widzianną raz tylko, ale niezapomnianą, twarz chudą, bladą, ze złowrogo błyszczącymi oczyma. A więc nie myliły ją przecucia: człowiek ten miał złe zamiary...”. I rzeczywiście, robotnik firmy Radlicz, nie rozumiejąc wspólnoty społecznych interesów, podpala magazyny swoich chlebobawców. To jeszcze nie wszystko. Naiwna „Księżniczka” Zofii Urbanowskiej, kiedy ją odczytać do końca, staje się weale pouczającą historią kapitalistycznego rozwoju. Drobnomieszczańska idylla burzy nie tylko robotnik, burzy ją również kapitał finansowy. Oto zapobiegliwość, oszczędność, i prowadzenie skrupulatnych rachunków nie na wiele zdały się Radliczom. Wyrzucony z pracy robotnik podpalił magazyny a „dom handlowy S...ling i Spółka, w którym mieli ulokowane kapitały, zbankrutował”.

„Jesteśmy prawie zrujnowani” oświadcza na przedostatniej karcie książki, właściciel handlu nasionami pan Radlicz.

Zakłócenie naturalnej harmonii w księżniczce, aspirującej do zarysowania idealnego wzoru społeczno — obywatelowego, nie było przypadkowe. „Księżniczka” wydana została w roku 1885, w cztery lata po powstaniu „Proletariatu”, na dwa lata przed założeniem „Ligi Polskiej”. Uformowała się już w Królestwie nowoczesna struktura klasowa. To już nie był okres mieszczańskiego liberalizmu, zbudzeń humanitarnych i iluzji społecznego pokój. To był okres eksploatacji kolonialnej monopolistycznego kapitalizmu. Liberalny kostium powędrować musiał na śmietnik. Robotnik uczył się surowych praw walki klasowej w powstających organizacjach socjalistycznych, a drobnomieszczaństwo przekonany o utopijności liberalizmu szukał oparcia w obozie „realistów” i ze wstrętem wymawiał słowo „postęp”.

„Księżniczka”, która o dwa lata wyprzedziła druk pierwszych rozdziałów „Lalki” jest podzwonnym pozytywizmu w „wydaniu dla dziewcząt”.

Jan Kott

JEAN LARNAC

Przełożył Adolf Sowiński

Romantyzm jako kompleks reakcji

CO TO JEST ROMANTYZM? Pytanie to stawiano już setki razy. Najpierw postawił je Stendhal, który w swym „Racine’ie i Szekspirze” ochrzcił tym mianem literaturę nowocześnie. Następnie stawiali je Wiktor Hugo, Sainte-Beuve, Teofil Gautier i prawie wszyscy bywalcy Wiedzy, jednakże żaden z nich nie potrafił dać dla ruchu, w którym brał udział, definicji, która by mogła zdobyć uznanie powszechne. I tak Musset, enfant terrible docho-dzi w tym zakresie do tezy, że „romantyzm to gwiazda płacząca, to kwilący wiatr, to dygotająca noc, lotny kwiat i wonny ptak, to wytrysk niespodziewany, omdlała ekstaza... To nieskończoność i gwiazdzista przestrzeń, ciepło, utrudzenie, otreźwienie, a jednak zarazem pełnia i krag, średnicowość, piramidalność, wschodniość...”. Inaczej mówiąc: wyuzdanie mniemów, obłąd. Nie zrażają się tymi wybrakami, które są tylko powłoką prawdy niezaprzeczalnej, historycy współcześni usiłowali dać swojej własnej charakterystyce romantyzmu. Jest wszakże rzeczą rozpaczliwą, że ostatecznie zadowolili się przeciwstawieniem poszczególnych punktów klasycyzmowi: swoboda w sztuce zamiast obowiązku, przedmiotem prawdy, pierwszeństwo uczuciowości przed rozumem, upodobanie do hiperboli na miejsce upodobania do litotes, słownictwo niewyszukanne w przeciwieństwie do niezwykle wyszukanego języka dworskiego...

Krótko mówiąc, wystarczy otworzyć jakikolwiek podręcznik, aby w nim znaleźć szczegółowy bilans tych przeciwstawień. Ale dzięki czemu krytyka może wytrwać przy tak powierchownym wykładzie? Nie chcąc widzieć w romantyzmie nic więcej ponad bunt pisarzy i artystów przeciw swym kolegom z generacji poprzedniej, skazujemy się na ignorowanie głębokich przyczyn całego ruchu literackiego, zdajemy się bowiem uważać wtedy literaturę za działalność zamkniętą i nie posiadającą związków z innymi czynnościami społecznymi. Dopatrujemy się w romantyzmie tylko reakcji estetycznej przeciw klasycyzmowi, można by dostrzec w parnasizmie

znowu tylko reakcję estetyczną przeciw romantyzmowi, a w symbolizmie tylko reakcję estetyczną przeciw parnasizmowi. Czy jednak dla wytłumaczenia różnorodności szkół literackich, które następowały po sobie od lat stłu, dość byłoby powiedzieć, że młodzi mają upodobania do palenia tego, co ubóstwiali ich ojcowie?

Jakże wdzięczna i nieszkodliwa jest taka rywalizacja pokoleń! Oglądana pod tym kątem widzenia działalność artystyczna zbliża się do krawiectwa damskiego, które po sukniach długich wprowadza modę na suknie krótkie. Na nieszczęście — albo na szczęście — przyplwy i odpływy w sztuce nie wynikają tylko z pożądania nowości za wszelką cenę, nowości bądź to z upodobania do wrzawy, bądź też z konieczności ekonomicznej. I nie można by wydać właściwego sądu o romantyzmie, pomijając w rozumowaniu z jednej strony Rewolucję Francuską z r. 1789, a z drugiej strony rewolucję przemysłową, która poczyniła się w Wielkiej Brytanii u progu XIX stulecia ogarnęła Francję około roku 1820 i rozszerzyła się stopniowo na inne połacie Europy. Pisarz i artysta daremnie chciałby się zamknąć w ramach pracy ściśle zawodowej, otrzymując bowiem bodźce od społeczeństwa, w którym żyją i nie mogą stworzyć dzieła „czystego”. Uczucia i idee, które pisarz i artysta wyraża, są mniej lub więcej podziwu godną nadbudową, a umysł ciekawy powinien zapytać, co ona ukrywa.

1) Tak (franc. Cénacle) nazywano krag literatów, grupujących się ok. r. 1823 wokół Wiktora Hugo (przyp. tłum.).

2) Hiperbola czyli przesada i litotes czyli pomniejszenie są znanymi ze starożytnej teorii wymowy i późniejszych poetyk przeciwstawnymi figurami retorycznymi lub poetyckimi. Z hiperbolą mamy do czynienia, gdy człowieka niskiego nazwiemy aż karłem, jako litotes zaś należy na przykład określić zdanie Chimeny, gdy mówi, że nie ma nienawiści do Cyda, chcąc w ten ogólny sposób o-rzec, że obdarza go wielką miłością. (przyp. tłum.).

Romantyzm nie da się zrozumieć bez uprzedniego uchwycenia różnicy między ruchem, który poprzedził Wielką Rewolucję i ruchem, który po niej nastąpił. Wielokrotnie opisywana pod nazwą preromantyzmu pierwsza fala pojawiła się we Francji w r. 1761 razem z „Nową Heloizą” Jana Jakuba Rousseau. Wkrótce potem fala ukazała się w Niemczech dzięki Goethemu, którego „Werter” datuje się z roku 1774. Czyż dla poznania tego zjawiska byłoby właściwe ograniczyć się do wypowiedzi, że nadużywanie rozumu w ciągu stuleci klasycystycznych wywołało rewoltę uczuć zbyt długo tłumionych? Czy w pojawieniu się ogrodów angielskich przed rokiem 1761 należy z Danielem Mornet doszukiwać się dowodu gustów, za które Jan Jakub nie byłby zupełnie odpowiedzialny — i uchylić w ten sposób pytanie bez odpowiedzi? Będę szczerzy: preromantyzm był wynikiem zwykłego pragnienia ucieczki, co u niektórych przybierało postać marzenia o rewolucji, która wydawała im się podówczas jeszcze niemożliwą do urzeczywistnienia, u innych zaś postać strachu przed głębokimi zmianami w strukturze społecznej, do której byli głęboko przywiązani. I nie ma w tym nic osobliwego, że to pragnienie zrodziło się najpierw u pisarzy i poetów, to znaczy, że ci pisarze i poeci występowali tylko jako tłumacze rozpowszechnionego już nastroju umysłów, ponieważ bardziej niż zwykli śmiertelnicy byli uzdolnieni do uświadome-nia sobie tych spraw. Temu pragnieniu ucieczki należy dać genealogię.

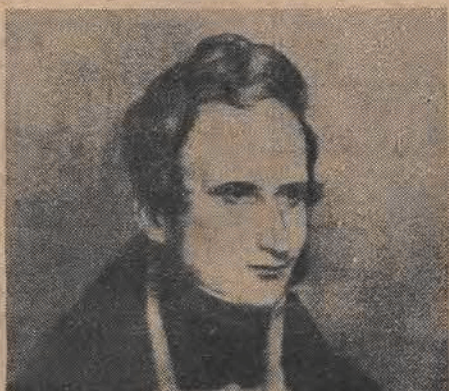
Oczywiście romantyzm Goethego nie da się bez reszty wytłumaczyć w ten sam sposób co romantyzm Rousseau’a, każdy bowiem z tych romantyzmów ukształtował się w pewnym „klimacie” o różniących narodowych, politycznych i społecznych, każdy z nich był również odpowiednikiem odmiennej ewolucji indywidualnej, skoro pierwszy został stworzony przez człowieka już się starzejącego, a drugi, przez człowieka młodego, natych-

miast po pierwszym zetknięciu się z życiem. Ażeby jednak nie mnożyć analiz, będę się trzymał preromantyzmu francuskiego, którego Rousseau był przodownikiem. Jan Jakub wydaje mi się najwspanialszym przykładem owych ludzi o śmiałych umysłach, którzy wyobraższy sobie społeczeństwo, zorganizowane ściśle według zasad sprawiedliwości, zostali uznani za niebezpiecznych utopistów i na skutek prześladowań szukali w marzulinach niotycznego azylu.

Wiemy, z jakim rozmachem począwszy od roku 1750 układał Rousseau swą mowę oskarżycielską przeciwko własności, kardynalnej przyczynie nierówności między ludźmi. Wiemy, że w swej „Umowie społecznej” podjął się określenia podstawowych zasad demokracji, które wkrótce potem usiłował zastosować do rządu polskiego. Wiemy, że był prześladowany za śmiałość swych poglądów, że po opublikowaniu „Emila” musiał uciekać do Szwajcarii, później w góry Jura, a jeszcze później do Anglii przed zemstą tych, których zaniepokoił. Wiemy, że znalazł pociechę w samym już tylko kontemplowaniu piękności natury, a na ostatek w tajemnych marzeniach, zupełnie pozbawionych sensu, w marzeniach, które by można nazwać roślinnymi, a których mechanizm on sam wspinał się zanikał w piątę ze swych „Przechadzek”. Odwracając się od ludzi, aby się zamknąć w miłości do krajobrazu i bezprzedmiotowym marzeniu, stał się Rousseau ojcem romantyzmu. Ale to nie stało się dlatego, by — jak się często mówi — uznał, że nadużył rozumu wyjąłowił umysły, bo wszystkie jego dzieła polityczne, pedagogiczne i społeczne oparte są na rozumowaniu. Czyż bowiem nie rozpoczął swój kariery rozprawami, w których okazał się niebezpiecznym sofistą? Stało się to natomiast dlatego, że plebejusz jako pokroju nie mógł żyć bez cierpienia w społeczeństwie opartym na przywileju. Wynurzenia miłosne w stronę istot „stworzonych podług swego serca”, uniesienie w obliczu natury i zagłębienie się w samemu sobie aż do

zapomnienia o wszystkim były dlań azylami, w które zapuszczał się kolejno, aby stracić z oczu nierówności społeczną, której szybkiego zniknięcia prętem się spodziewał. „Osmotniony na resztę dni mego życia — pisał z gorzką rozkoszą w pierwszej ze swych „Przechadzek” — znajdując już tylko w sobie samym pociechę, nadzieję i pokój, nie powinienem i nie chcę zajmować się czymś innym oprócz siebie samego... Niechaj się odłam zupełnie słodczy rozmawiania z mą duszą, ponieważ ona jedynie jest czymś, czego ludzie nie mogą mi odebrać”.

Dezercja ze społeczeństwa? Oczywiście. Tylko że Rousseau nie przyznał się do niej bez tego, co powiedział. Jest to odwołanie na bok traktatu moralnego po jego ukończeniu. Dlaczego więc nie nazwać tego przedwczesną rejturą, wymuszoną przez nieznosne cierpienia o charakterze społecznym?



Alfred de Vigny

Jeżeli by — a zazwyczaj poprzestaje się na tej wypowiedzi — Jan Jakub dokonał tylko wyzwolenia uczuć trzymany zbytnio długo w cuglach przez rozum, to nie wywołałby na pewno tej epidemii rozpacz, która załamała świat przyjmując najrozmaitsze postaci od Wertera i Reného do dzieł egzystencjalistycznych i do elukubracji erotycznych Millera, a poprzez „Fleurs du mal” Baudelaire’a „Une saison en enfer” Rimbauda i „Brise marine” Mallarmé’go... W wypadku, gdyby się rewolucja Francuska była powiedziała, zrehabilitowane przez Diderota, Rousseau’a i Bernardina de Saint-Pierre’a uczucie stałoby się zapalem i wiarą w człowieka. Wtedy nowy kierunek literacki połączyłby w konstruktywnej syntezie pogłębione uczucie z rozumem filozofów, posługiwałby się zapewne tak ulubioną przez namietności hiperbolą, „wzdrabiałby czapkę frygijską na stary słownik”, ale nie można by w nim dopatrzeć się ni żdźbła upodobań do melancholii, do tego i do rozpacz, która rozprzestrzeniła się po okresie Terroru. Nie byłby również wprowadził mody na subtelne Elwiry, blade i bez życia, nie byłby rozpowszechnił chorobliwych tęsknot samobójczych. Kto wie, może by i przybrał nazwę romantyzmu, byłby to jednakże romantyzm o potężnym i ożywym optymizmie, którego siłę można odgadywać z mów Kamila Desmoulins, Dantona i Saint-Just’a, z artykułów Marata i z pieśni rewolucyjnych, spośród których „Marsylianka” i „Pieśń wymarszu”⁵⁾ pozostały arcydziełami. Byłby to żarliwy romantyzm ludu w pełnym rozkwicie, a nie chorobliwy romantyzm klasy uprzywilejowanej, która jest u schyłku swych dni.

Jak wiadomo, sprawy przybrały inny obrót, gdyż zamiast dopomóc młodym siłom ludu wym do budowy państwa demokratycznego, przywrócone do chwały uczucie stało się instrumentem reakcji, zamiast więc popierać swym entuzjazmem sprawę robotniczą — odwróciło uwagę człowieka od jego najwspanialszych zadań, bądź to następcząc mu możliwości ucieczki, bądź też przywracając blask wartościom wyszłym z obiegu.

Gdy cieszę się razem z zastępami emigrantów zwycięstwem nad Rewolucją, Chateaubriand zabrał się w Anglii do pisanie swego „Essai sur les révolutions”, to wierzył podówczas, że chrześcijaństwo zostało przez encyklopedystów doprowadzony do ostatecznej ruiny. Jak więc doszło do tego, że w r. 1802, na kilka dni przed podpisaniem konkordatu, który przywrócił Kościołowi większą część jego praw, Chateaubriand mógł jednak opublikować swój „Geniusz chrześcijaństwa”? Oto Fontanes, odwołany jako jeden z pierwszych przez Napoleona z wygnania i mianowany ministrem, odegrał tu niemałą rolę. Chociaż odgradzony od Francji Kanalem — nie istniało wówczas radio, aby przesadzać przepaścią — Fontanes trafnie przewidywał sprawy. Z zainteresowaniem śledził karierę młodego generała korsykańskiego kolejno jako dyrektora, konsula i pierwszego konsula, odgadł więc, że wyklukający się dyktator powinien oprzeć się na Kościele, aby wreszcie położyć kres nieładowi rewolucyjnemu, to też zachęcił Chateaubrianda, swego utalentowanego przyjaciela, by został apologetą chrze-

ściństwa. W ten sposób dzięki Fontanesowi „Geniusz” ukazał się w chwili, gdy wszystkie dzwony we Francji zabrzędały na nowo. W tym samym czasie gdy podpisanie konkordatu stwarzało dla książki niebezpieczną reklamę, sama książka budziła zapal religijny, którego tyran potrzebował dla utrwalenia swej tyranii. Ani wniosły ni szar ani wyniosły Cezar nie pomyśleli o tym, aby sobie wzajemnie podziękować.

Wielbiciele Chateaubrianda poprzestają na orzeczeniu, że tkwił w tym zwykły zbieg okoliczności. Wzbraniając się przed uznaniem autora „Geniusza chrześcijaństwa” za szefa niezbędnej Napoleonowi propagandy, pokładają ufność w pierwszej przedmowie do dzieła, w której czytamy, że Chateaubriand zawdzięcza swą nową wiarę prawie jednocześnie śmierci swej siostry i swej matki. „Te z grobu wychodzące dwa głosy, ta śmierć, która stała się tłumaczem wszelkiej śmierci, wzburzyła mnie do głębi. Stałem się chrześcijaninem. Wyznałem, że nie ugiąłem się przed olbrzymim światłem nadnaturalnym, bo moje przekonanie wyszło z serca: zapla-kałem i uwierzyłem”. Któryż jednak z pisarzy miałby dość pokory i dość trzeźwości, aby orzec, że poddał się gustom chwili z miłości do sławy, i że dał się porwać prądowi w wyniku dyplomatycznej przebiegłości? Gdy człowieka porywają siły, które skłonną jest lekceważyć, odkrywa rychło ważne racje na usprawiedliwienie swych postępów.

Tym, których nie zdołał uwieść chrześcijaństwa, powołujący się na przepychy natury, Chateaubriand dał wkrótce inny środek zapomnienia o koniecznościach walki politycznej i społecznej: poczynając od roku 1805 jego „René” uczył chorobliwych rozkoszy ucieczki. Alfred de Vigny w „Servitude et Grandeur militaires” (1835) i Alfred de Musset w „Confession d’un enfant du siècle” (1836) opisali każdy na swój sposób ów zamęt, który szerzył się wśród naszej młodzieży, gdy po Waterloo król francuski powrócił z wygnania i wstąpił na tron swych ojców. „Żyli w świecie wyobraźni — mówi Musset — spoglądali na ziemię, niebo, ulice i drogi, ale wszystko było puste, nawet dzwony ich far rozbrzmiewały samotnie w oddali... Za nimi niezniszczalna przeszłość burzyła się jeszcze pod ruinami i wśród wszystkich skamielin stuleci absolutyzmu”. Także wtedy był koniec sprzecznych nadziei powstałych na tle wzięcia Bastylii, upadku Robespierre’a i podboju Europy przez armie napoleońskie. Czy powracano w nową formę do tego, co emigranci uważali za „piękną epokę”, czy też trwał jeszcze bój o nowy porządek? Dla wiarusów opanowanych żalem za zwycięskim pochodem pod rozkazami Małego Kaprała, dla przybitych klęską rewolucjonistów, zadających sobie pytanie czy wybiję kiedy dla nich godzina odwetu, dla szlachty przywróconej do swych przywilejów i wprowadzonej na powrót do swych dóbr, ale niepewnej jutra, ponieważ widziała, jak uzbrojeni w widły chłopcy przypuszczali szturm do zamków, dla tych wszystkich niezadowolonych, zatrwożonych i opanowanych nostalgią Chateaubriand i jego gwałtowni wyznawcy otwierali drogę ucieczki.

Pierwszą była ucieczka poprzez poezję. Podczas gdy wiek XVIII upodobał sobie filozofię, ponieważ filozofia była wiedzą, a wiedza pozwalała będącej w pełnym rozkwicie burżuazji zdobyć władzę, to romantyzm stał się złotym wiekiem poezji. Miejsce myślenia logicznego, cenionego przez Montesquieu’ego, Voltaire’a, Diderota i Holbacha, zajęło myślenie przedlogiczne, miejsce rozumowanej nauki o faktach — nierównowagony entuzjazm albo rozkoszne rozpacz. Prawdę mówiąc ten entuzjazm zupełnie nie pozyskał sobie serc. Uparcie poszukując miłości, której nie mogła wzbudzić dla braku urody, pani de Staël wierzyła, że może podzielić się własnym entuzjazmem. „Entuzjazm — pisała w swej książce „O Niemczech” (1814) — daje największą szczęścia ze wszystkich uczuć, on jeden rzeczywiście je daje, on jeden pozwala nam znosić naszą dolę w każdym położeniu, w jakim los zechciałby nas postawić”. Ale kłómyśmy jej był posłuszny we Francji po Waterloo? Choć król powrócił, ludzie Restauracji nie czuli się przez to uwolnieni od nie-

pokoju. Miliardowa suma odszkodowań, którą im przyznano, nie przeszkadzała im dostrzegać, że z jednej strony burżuazja chwytła w swe ręce inicjatywę wynalazków tak szatańskich jak maszyna parowa, a z drugiej strony socjalizm ustalał swe zasady dzięki śmiałym teoretykom, z których niejeden wazył się podjąć marzenia Babeufa. Arystokraci byli zbici z tropu i broniąc się przed jasnym spojrzeniem na rzeczywistość w świetle rozumu, który im tyle zł wyrządził, oddawali się po większej części upojeniom podsuwanym przez Chateaubrianda, wdychali zabójcze opary spleenu, którego siły doznali już podczas wygnania bądź to w Niemczech z Goethem i Novalisem, bądź też w Wielkiej Brytanii z Byronem, Shelleyem i Keatssem. A zresztą czyż tego rozkoszowania się melancholią i rozpaczą, które pozwalało im samym zapomnieć w okresie emigracji o utrapieniach, nie byłoby dobrze rozpowszechnić, aby odwieść od działania tych, którzy poprzez stworzenie banków, poprzez mnożenie ilości maszyn i poprzez dążenia rewolucyjne przygotowywali okrutne zmiany?

Cóż to za trupia rozkosz delektować się z Chateaubriandem wyniosłą odrazą do życia w chwili, gdy przemysł zaczynał rewolucjonizować świat, gdy maszyna oddała człowiekowi swą nieograniczoną siłę, gdy saintsimoniści i fourierzyści obwieszczali możliwość nadejścia złotego wieku! „Ta odraza do życia, której doznawałem od dzieciństwa, powróciła z nową siłą. Niezadługo serce przestało dostarczać pokarmu myślowi i poczęłem dostrzegać własne istnienie jedynie poprzez głębokie uczucie nudy”. Cóż za rozkosz powtarzać zdanie Goethego, które Berlioz miał uczynić swą dewizą w roku 1829: „Poświęcam się pokojowi, który oddycha nienawiścią, i pokojowi, który oddycha rozpaczą”. Ujrzący przed sobą zatarasowaną drogę, patrycjusz szukali „rozsypanych we wszechświecie elementów trwogi i bólu” (Musset). Wtedy, gdy w swych „Mémoires d’outre-tombe” Chateaubriand pisał: „Wszystko mnie nudzi; włokę z trudem na nudę i me dni i na każdym miejscu me życie zionie pustką”, wierzone, że można podać się starczemu znużeniu czyli urazowi powstałemu na skutek porażek, które następują po zbyt wygórowanych nadziejach. Nie bez ironii przeciwstawiano tym nadziejom rozkosze takiego życia, które by wiodło ku wyniosłym smutom swego orędzia teoretycznego. Ale zbliżano się wówczas do roku 1848 i realizm, który miał stać się wyrazem nowego pokolenia, już zaczął działać. Mimo to melancholia i rozpacz dokonały swego dzieła.

Można by zapytać, dlaczego melancholia i rozpacz rozprzestrzeniły się w Wielkiej Brytanii, w Niemczech i w całej prawie Europie, podczas gdy jedynie Francja dokonała rewolucji i jedynie ona poniosła konsekwencje swej porażki. Jeśli ufać Vigny’emu i Mussetowi, to wierzone, że „choroba wieku” miała za przyczynę przysięgnięcie wywołane w młodzieży francuskiej po roku 1815 przez upadek pięknych marzeń o stawie. „Skazani na bezczynność przez władców świata — czytamy w „Spowiedzi dziecięcia wieku” — wydani na łup wszelkiego rodzaju gburów, życiu nieuczynicznemu i nudzie młodzi ludzie widzieli, że cofają się od nich spienione fale, przeciw którym sposobili swe ramiona... Najbogatsi oddali się rozpamiętaniu średnio zamożni przyjęli stanowiska i pogodzili się albo z tego, albo ze szpada, najbiedniejsi pogrążyli się na zimo w entuzjazmie, w wielkich słowach, w o-brzydliwym morzu czynów bez celu”. Jeżeli opis objawów choroby jest dobry (Musset rozpoczął studia medyczne, nie zdoławszy ich dokończyć), to etiologia grzeszy niedostatkami. Koniec epopei napoleońskiej nie był w rzeczywistości prawdziwą przyczyną tej choroby, w przeciwnym bowiem razie nie byłby dokonał spustoszeń w krajach, w których upadek tyranu wywołał zachwyty. Elementem determinującym, który pozwala wytłumaczyć rozprzestrzenianie się romantyzmu w skali międzynarodowej, była rewolucja ekonomiczna, która przyspieszyła przewrót społeczny, zapoczątkowany w okresie renesansu razem z odkryciem Nowego Świata.

Już La Bruyère dokonał spostrzeżenia, że od końca w. XVII zaszła przykra zmiana w hierarchii klasowej (przy czym to spostrzeże-



Chateaubriand

nie sprawdza się nie tylko we Francji, ale i we wszystkich krajach europejskich), którą uważano za ustaloną raz na zawsze, skoro odpowiadała woli Boskiej według dowodu Bosueta. La Bruyère bowiem wystąpił przeciw dzierżawcom generalnym, którzy gromadzili coraz to większe bogactwa, podczas gdy szlachta rujnowała się w Wersalu na przyjemności króla, wysuwali się więc stopniowo na pierwsze miejsce w społeczeństwie, budowali sobie wspaniałe pałace, urządzali księżę zabawy, kazali na siebie oczekiwać księżom i markizom, którym pożyczali pieniądze i których córki zaślubiali. W ciągu XVIII stulecia ten podwójny ruch, bo z jednej strony upadek szlachty, a z drugiej rozrost spekulującej burżuazji, jest coraz szybszy. I gdy w wyniku użytkowania pary ukonstytuował się kapitalizm przemysłowy najpierw w Wielkiej Brytanii, a potem we Francji, wlecy właściciele ziemscy spóstrzegli, że czas ich świetności dobiegł do końca. Zmuszeni do sprzedawania swych zamków i swych włości, aby zdobyć środki utrzymania, zmuszeni do ustąpienia pierwszego miejsca posiadaczom środków produkcji, podczas gdy blask tytułów bladł wobec potęgi majątkowej, powzięli świadomość swego upadku, ale wzbraniając się przed wzięciem udziału w postępie, który ich zdegradował, poddali się chorobliwej a patii określonej przez Musseta jako „zaprzeczenie wszystkich rzeczy na niebie i na ziemi, co można nazwać rozczarowaniem, albo, jeśli ktoś woli, beznadzieją”. W r. 1817 oklaskiwali Byrona, który swym „Manfredem” wciągnął ich w piekielnie ślepa uliczka, „jak gdyby — wciąż według Musseta — nicosi była rozwiązaniem ohydnej zagadki, którą się osłaniano”. Pochwalali Vigny’ego, który w r. 1824 zanotował w swym „Dzienniku”, że „spokojna rozpacz, nie podnosząca zarzutów przeciw niemu, jest uosobieniem mądrości”. „Okażmy rezygnację” — mówili przywódcy nowej szkoły literackiej, z których wielu — nie trzeba o tym zapominać — przynależało do arystokracji: Francois-René de Chateaubriand, Lord Byron, Alphonse de Lamartine, Alfred de Vigny, Alfred de Musset, Wiktor — syn hrabiego i generała Hugo... Jedni utrzymywali za Lamartine’em, że azylem jest tylko niebo, inni twierdzili za Vigny’em, że nie ma żadnego dostępnego azylu, narzuca się więc rezygnacja stoicka. Jednakże wszyscy, i wierzący i ateści, zgodnie dawali do zrozumienia, że wiara w postępie i wysiłki zmierzające do wprowadzenia zmian w niedoli ludzkiej, są dowodami najdoskonalszej głupoty.

Ach, gdyby mogli byli powstrzymać „lot” czasu, jak sobie tego życzył w r. 1820 autor „Jeziora”⁶⁾, gdyby Vigny mógł być powstrzymać „żelaznego byka”⁷⁾, który pluł czarnym dymem na wsie i pamił niwy, romantyzm smutku, byłby rychło wśród nich zrobił miejsce romantyzmowi zapału. Jednakże nieubłagana myśl, której Descartes zdjął kajdany, szła naprzód krokiem olbrzyma. Wynalazki następowały po wynalazkach, lepiej zaspakajając potrzeby, stwarzając rzeczy dotąd nieznane, wyzwalając masy, każąc im zrozumieć konieczność walki klasowej, wywracając wszystko, co uważano za ustalone na całe stulecia. Klientela literacka rekrutowała się po większej części właśnie z arystokracji, która nie mając już nadziei kierowania sprawami publicznymi, rościła sobie prawo do kontrolowania dobrego smaku i utrzymywania go na poziomie wyniosłej melancholii. „Nie odepłajcie zapachu kwiatów, głosów natury, nadziei i miłości, winnic i słońca, lazuru i piękna!” — wykrzyknął pewnego dnia Musset w przystępie czarnej melancholii. Nie zdawał sobie sprawy, że rozpacz, w której prześcigała się „gentry” europejska, była newrozem społeczną, a nie kaprysem. Tej choroby, którą upajali się seniorowie dziewiętnastego wieku i której on cały nieuchronnie się nabawił, poddaje się z kolei i schyłkowa burżuazja współczesna, otaczając swymi względami różnych Sartre’ów, Malraux i Camus’ów, pisarzy, którzy w nowej formie nadal dają wyraz beznadziei i nudzie. Gdy bowiem klasa panująca spostrzeże, że zachwiała się jej przywileje, zaprzecza z sadyistyczną rozkoszą wszystkim, co nadaje wartość życiu. Podobnie jak „paniczny strach wszystkich dobrze myślących” miał przed rokiem 1914 wywołać modę na surrealizm, a po roku 1944 modę na egzystencjalizm, tak samo paniczny strach „dobrze myślących” wywołał po roku 1915 modę na romantyzm.

Ucieczka do religii, którą Lenin nazwał „opium dla ludu”, ucieczka do jałowych rozmyślań, ucieczka do kontemplacji natury, ucieczka do miłości jak najbardziej odcielesnionej, ucieczka do piękna, ucieczka do teozofii, do wywoływania duchów za pomocą stolków wirujących (tu myślę o Wiktorze Hugo i o pani de Girardin) — oto wykryty, w których objęcia padano z nastrojem błogości. Tak samo myśl po stuleciu nader konstruktywnym, któ-

⁶⁾ Lamartine (przyp. tłum.).

⁷⁾ Chodzi oczywiście o lokomotywę (przyp. tłum.).



Delacroix: Rugiero oswobadza Angelię (Luwr)

⁵⁾ Wiktor Hugo chwalił się, że to uczynił (przyp. aut.).

⁶⁾ autorem „Pieśni wymarszu” („Chant du départ”) jest Maria Józef Chénier, młodszy brat słynnego poety Andrzeja Chéniera, straconego za dni Terroru (przyp. tłum.).

⁷⁾ Czyż Napoleon nie wyznał w swych „Pamiętnikach”, że nie mógłby utrzymać w ryzach ludu, pozbawionego zdobyczy przez burżuazję, która powoli opanowała życie gospodarcze, i skazanego na coraz to cięższą pracę w nowych fabrykach, jeśli by nie mógł przyobieczać maluczkim sprawiedliwej nagrody na drugim świecie? (przyp. aut.).

re patrzyło na rozwój filozofii racjonalistycznej, zdawała się cofać. Mimo, że Buffon skierował ciekawość ku początkom wszechświata i ludzkości, pobudzając do rewizji dogmatów biblijnych, mimo że Montesquieu skłonił do zastanowienia się nad powstaniem i rozwojem praw, mimo że Rousseau ściągnął uwagę na przyczyny nierówności między ludźmi, a Diderot określił duszę jako epifenomen i unaocznili doniosłość materii jako jedynej rzeczywistości do skontrolowania, zdawano się u dzielać zaufania już tylko wzruszeniom, uczuciom i namietnościom, a nawet udawano jak największą odradę do wszystkiego, co poza ten zakres wykraczało. Czy człowiek dawał tedy za wygraną? Czy dezertował? Bynajmniej, bo podczas gdy patrycjał oddawał się jałowemu igraszkom melancholii, trwała pogon za rzeczywistością, przekształcano materię w najlepszy z jej rodzajów i dokonywano podboju sprawiedliwości. Procesy te miały miejsce w fabrykach, gdzie przedsiębiorcy nie interesowali się zupełnie ruchem i. erackim, w cechach, gdzie robotnik powziął świadomość swych praw i swej siły, w stowarzyszeniach tajnych, gdzie studenci pomagali uświadomionemu proletariatu w przygotowaniach do nadejścia lepszych czasów.

Jednakże nie należy dopatrywać się w romantyzmie jedynie postaci negatywnej i wstecznej. Bo czy romantyzm nie wytworzył płodnych przeciwstawień, które miały przyspieszyć dojrzalszą społeczność? Gdy Wiktor Hugo głosił wolność sztuki, nie ulega wątpliwości, że zarazem tłumaczył na język literacki dążenia do wolności ekonomicznej, któ-

rej wielka burżuazja spekulacyjna potrzebowała dla powodzenia swych przedsięwzięć finansowych, przemysłowych i handlowych. Gdyby powiedziano młodemu dramaturgowi, że tocząc bitwę o „Hernani'ego” (1830) uosabiał jedynie bitwę w zakresie ekonomicznym, toczoną przez młodych magnatów bankowych i przemysłowych, on, który tak wysoko nosił powołanie poety, zatrzęsłby się z oburzenia. Mimo to Hugo zarówno tu jak i w szeregu innych wypadków był jedynie „dźwięcznym echem”. Bo i do czego doprowadza wolność, którą nadano artystom? Można na to odpowiedzieć w kilku słowach, chociaż byłoby rzeczą ciekawą rozwinąć to obszerniej: wolność sztuki pozwalała Baudelaire'owi, Rimbaudowi, Mallarmé'emu, surrealizmowi (tak samo jak i artystom w porządku plastycznym i muzycznym) do zrzucania z siebie raz za razem jakiegoś jarzma, do odrzucania wszelkich reguł, do mówienia o rzeczywistości już tylko poprzez symbole coraz bardziej skomplikowane, do pogardliwego odrzucenia samej nawet rzeczywistości, aby odkrywać rzeczy podnadrzęstnicze przy pomocy sił podświadomych... Słowem do wyczerpania źródeł sztuki, do absurdu i do pokazania w ten sposób, że sztuka umiera, jeżeli odrywa się od swej nieuniknionej podstawy i jeżeli — zgodnie z utartym dziś powiedzeniem — „przestaje być zaangażowana”.

Wielu zresztą spośród romantyków spostrzegło ten stan rzeczy, podporządkowując pod wpływem ruchów robotniczych swe uczucia sprawom wielkim, aczkolwiek specjalizację w melancholii nadal utrzymano. Wi-

dzimy bowiem, jak Byron występuje w obrobie uciśnionych Greków, jak Mickiewicz rozognia młodzież polską swym „Konradem Wallendrodem” i „Matką Polką”³⁾, jak George Sand pisze powieści społeczne i zakłada dzienniki proletariackie jak Lamartine układa swą „Historię Żyrondystów”. Należałoby uważnie prześledzić tę drugą postać romantyzmu, aby odkryć jego niedostatki i podstęp. Stwierdziłobyśmy wtedy, że udział romantyków w wielkich zmaganiach ludzkich nie miał trwałszego podłoża nawet u najszczerszych z nich, a u pozostałych był nowym środkiem oszukiwania ludu. Czegoś bowiem szukał Byron w Missolonghi, jeśli nie bohaterstwa, śmierci, która by go uwolniła od katuszy? Biorąc w sto lat później udział w wojnie hiszpańskiej André Malraux miał przeżyć na nowo gest byroniczny, a inaczej mówiąc odnaleźć urok poetycki w niebezpiecznym działaniu, które by potrafiło unicestwić bezna- dzielną rozpacz. Jakże smutek odkrylibyśmy w geście George Sand, która po psianach rewolucyjnych wycofała się z walki już w pierwszych godzinach reakcji! Albo w geście Cabeta i Leroux, tych romantyków socjalizmu, którzy znikli z widowni politycznej za drugiego cesarstwa, straciwszy wszelki szacunek u mas, które w pewnej chwili zdolali ujarzmić. Można by niewątpliwie powołać się na „Legendę wieków” i „Nędzników” Wikto-

ra Hugo „na Tajemnice Paryża” Eugeniusza Sue i na wiele innych dzieł romantycznych z okresu następującego po rewolucji roku 1848, aby wykazać, że romantyzm umie stać się podporą idej postępowych. Czyż Lamartine nie pociągnął do odpowiedzialności wielkiej powieści o „Nędznikach”, nie tylko za to, że kazała zbyt obawiać się ludzi szczęśliwych, ale i za to, że kazała zbyt nadzieję pokładać w nieszczęśliwych? W tym artykule nie chodzi jednak o prześledzenie wszystkich następstw ruchu tak różnego. Bo i jak w kilku zdaniach sklasyfikować elementy konstruktywne i usypiające w „Nędznikach”? Jak ukazać stan umysłów zdaw- kowo pompatycznych, które zawsze były cel- nione przez socjalizm filantropijny? Jeżeli by nowy romantyzm rzeczywiście odpowiadał był dążeniom ludów zawiędzonych (lub zachwyconych) porażką rewolucji z r. 1848, nie byłaby go zatopila reakcja realizmu. Ta prze- to reakcja jest faktem zastanawiającym dla historyka. Tłumaczy się ona dwiema przyczy- nami zasadniczymi: po pierwsze gwałtownym odruchem arystokracji, która ustanowiwszy wspólny front z potężną burżuazją powzięła świadomość, że należy spojrzeć prawdzie w oczy, a po drugie gwałtownym odruchem ze strony klasy robotniczej, która po zawodach spowodowanych przez teoretyków odurzają- cej utopii socjalistycznej, obrała sobie za mis- trzów Marksa i Englesa. A ci umieli trzyma-ać się rzeczywistości i pogardzać chimera- mi.

Jean Larnac
przełożył Adolf Sowiński

JADWIGA SIEKIERSKA

Chorobach wzrostu kulturalnego

AK SIĘ już u nas utarło, że gdy kilku oświatowców, lub działaczy kulturalnych zbierze się razem, zaczynają od razu utyskiwać na brak ludzi i funduszy w dziedzinie kultury. Są to tylko pozory prawdy. I z ludźmi nie jest gorzej, i pieniądze hojnie się wydają na cele kultury. Dlaczegoż tedy jest tak źle, jeżeli jest tak dobrze? Nie kryjąc się za parawan „obiektywnych trudności”, poszukajmy źródeł naszych niedomagań, naszego opóźnienia się na terenie masowej pracy kulturalno-oświatowej, w obecnym układzie życia kulturalnego i w sposobach kierowania procesami kulturalnymi. Nie możemy się uskarżać na brak instytucji państwowych, czy organizacji społecznych, zajmujących się „upowszechnianiem kultury”. Odwrotnie, i KCZZ i Zw. Sam. Chłopskiej, i TUR, i TUL, i wiele innych masowych organizacji kulturalno-oświatowych rozwijają działalność na terenie miejskim i wiejskim. Po bliższym jednak zapoznaniu się z pracą tych organizacji, można na podstawie obserwacji wyników tej pracy w życiu codziennym zaryzykować twierdzenie, że zło tkwi w wielorakości bezplanowej gospodarki kulturalnej. Każda organizacja działa na własną rękę, nie uzgadniając swych zamierzeń z organizacjami pokrewnymi, oraz z Min. Oświaty i Min. Kultury i Sztuki. Stąd w skutkach — karygodne rozproszenie wysiłków ludzkich i środków materialnych, osłabianie naszej ofensywy kulturalnej. Wypływa to często z partyzanckich metod stosowanych przez pewne placówki „krzewiące” kulturę, ze zanurzonych „radosni twórczości”, z braku koordynacji i z przerostów biurokratycznych, pożerających grosz publiczny. Wielorakość, dublowanie tych samych imprez, separatyzm, brak wymiany doświadczeń, kłótnie o kompetencje i wysięg w zakładaniu nowych a nie współpracujących ze sobą placówek kulturalnych powoduje marnotrawstwo pieniędzy, a przede wszystkim rozpraszanie kapitału ludzkiego.

Wytworzyła się paradoksalna, dialektyczna w swej sprzeczności sytuacja w naszym życiu kulturalnym. Z jednej strony — dokonuje się swego rodzaju rewolucja kulturalna: samorządna twórczość, ciekawa inicjatywa. O- budzony głód wiedzy, silny pęd do wyższości się artystycznego, ogólnie mówiąc wzrost potrzeb kulturalnych mas pracujących. To sprzyja powstawaniu coraz to nowych organizmów kulturalnych: świetlic, ochotniczych zespołów teatralnych, uniwersytetów powszechnych, czy ludowych itd.

Z drugiej strony, ten żywiołowy ruch kulturalny idący od dołu, jak powódź, która zerwała tamę, szuka ujścia w różnych łó-żyskach organizacyjnych. Nie ujęty jednak w karby jednolitego kierownictwa i planu, masowy ruch kulturalny trafia nieraz do tryby zbiurokratyzowanej maszyny pewnych instytucji, czy placówek, albo na drodze artystycznego wyższości się, niekiedy zbacza na tory łatwizny, efekciarstwa i rozrywkowej szmiry, stając się czasami terenem oddzia-ływania najgorszych gustów kołtuna.

Uczestnictwo robotnika, czy chłopca w tworzeniu kultury narodowej nie oznacza zdania się na żywiołowość, „laseferyzm”, a tym bar- dziej nie może prowadzić do zbiurokratyzo- wania poczynań kulturalnych. Tolerancja wobec jednych, czy drugich wynaturzeń ma- sowego ruchu kulturalnego osłabia nasz front kulturalny. Nie trzeba zapominać, że w dokonywujących się procesach kulturalnych, na peryferiach zdrowego i potężnego nurtu, błakają się jeszcze widma przeszłości (wpływ żywiołu drobnomieszczańskiego). Dlatego nie- rzadko „martwy chwyt żywego”.

Wypracowanie jednolitych podstaw ideolo- gicznych, konieczność planowania, zespolenia

wysiłków i zamierzeń kulturalnych — staje się koniecznością oczywistą.

Z tym się wiąże potrzeba ujednolicenia struktury organizacyjnej oraz zreformowania treści i formy pracy masowych organizacji kulturalno-oświatowych.

O SZKOLENIU PRACOWNIKÓW KULTURALNO - OŚWIATOWYCH

Nie trzeba specjalnie udawać, jak do- niosła jest rola organizatorów życia świetli- cowego, kierowników domów kultury, in- struktorów artystycznych, czy po prostu pe- dagogów - artystów. Kształcenie tych kadr jest sprawą poważną i tym bardziej palącą, że dotychczas nader zaniedbaną. W wielu wypadkach kierownikami świetlic są ludzie na niskim poziomie kulturalnym, a co gorsza ludzie, którzy często trafem znaleźli się na tym stanowisku. Krótkoterminowe kursy dla kierowników świetlic prowadzone przez TUR, Związki, Zawody nie poprawiły radykal- nie sytuacji, a nawet często miały się z ce- lem, bo większość absolwentów tych kursów nie stanęła do pracy w świetlicach, ci zaś, którzy wrócili do świetlic, nie są wspomaga- ni kontrolowani w swej dalszej pracy.

Z danych statystycznych, zebranych przez CIK wynika, że tylko około 27 proc. słuchaczy przeszkolonych na kursach zostało czynny- mi kierownikami świetlic, reszta zaś okaza- ła się elementem przypadkowym, który tra- fił na kurs w wyniku złej selekcji kandyda- tów. Poważny odsetek absolwentów tych kur- sów — to ludzie społecznie nieużyteczni, wykorzystujący kursy dla beztróskiego spę- dzania czasu i przerzucający się z jednego kursu na drugi. Nauka wypływająca z tych faktów przemawia za koniecznością zcentra- lizowania i ujęcia w mocne ręce sprawy kształcenia pracowników kulturalno-oświa- towych.

Należy również zanotować fakt, że naj- lepiej pracują te świetlice w mieście i na wsi, które są kierowane przez nauczycieli. Okazuje się, że nie tylko do wychowywania dzie- ci, ale i do wychowywania dorosłych po- trzeba jest zamiłowania, ów „ogień prome- tejski”, właściwy dobrym nauczycielom na odpowiednim poziomie kulturalnym. W tym świetle szkolenie kierowniczego aktywu świe- tlicowego wysuwa się na pierwsze miejsce. Obecny stan rzeczy jest wprost alarmujący. W praktyce szkolenie pracowników świetli- cowych nie opiera się na przemysłowej kon- cepcji, nie ma jednolitego planu i poważniej- szej selekcji kandydatów. Wynika to stąd, że każda organizacja dysponująca świetlica- mi na własną rękę, prowadzi szkolenie akty- wu kulturalno-oświatowego w sposób cha- lupniczy. Instytucje państwowe, jak MKiS, czy Min. Ośw. niestety są jeszcze dalekie od

realizacji ogólnonarodowego, zakrojonego na szerszą skalę kształcenia pracowników kulta- ralno-oświatowych. Odnosne plany nie są rów- nież ze sobą uzgodnione. Oto garść faktów. Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna w Ło- dzi otworzyła nowy kurs instruktorski, któ- ry kształci kierowników samorodnych zespó- łów artystycznych, powstających głównie na terenie świetlic. Przewaga nauczycieli już zaawansowanych i zapalonych do tego ro- dzaju pracy, wytworzyła sprzyjającą atmo- sferę na pierwszym, a dziś już drugim ro- ku nauki. Ale jeżeli uwzględnimy fakt, że ilość słuchaczy 1-go jak i 2-go roku nauki liczy razem zaledwie 20 osób, przy ogromnym zapotrzebowaniu kraju na tego rodzaju pra- cowników, jeżeli uświadomimy sobie ponadto, że dobór kandydatów na rok obecny był przy- padkowy, że program nie skonfrontowano z praktyką świetlicową, że wreszcie i prakty- ka świetlicowa słuchaczy 2-go roku nie jest systematycznie kontrolowana (omawiana) — to zrozumiemy, że piękne przedsięwzięcie utkwiło na martwym punkcie. Nie ulega również wątpliwości, że wysiłek i wydatki włożone w taki kurs są zbyt duże w porów- naniu z nikłym efektem ilościowym i jako- ściowym, i to wbrew dobrej woli inicjatorów kursu i zapalowi małej gromadki słuchaczy. A właśnie kurs instruktorów-pedagogów ar- tystycznych przy szkole pozostającej pod kie- rownictwem Leona Schillera, w robotniczej Łodzi z jej szeroką siecią świetlic mógłby i powinien być poważnym ośrodkiem kształce- nia tego rodzaju kadr w skali państwowej. Niezależnie od szkoły Schillera, zupełnie au- tonomicznie, bez uzgodnienia z MKiS, Min. Ośw. prowadzi krótkoterminowe nauczyciel- skie kursy teatralne. Powstało również dwu- letnie studium wychowania artystycznego młodzieży w Warszawie, nie mówiąc już o szeregu doraźnych kursów tego kierunku prowadzonych przez komisję kulturalno- oświatową KCZZ, TUR-u, TUL-u. W tym wszystkim nie odczuwa się działania mocnej ręki kierowniczej i jednolitego planu. Stworze- nie poważnej szkoły kształcącej pracowników kulturalno-oświatowych (zwłaszcza reżyserów teatrów ochotniczych) pozostaje więc nadal nagłą potrzebą. Dotychczasowy stan rzeczy prowadzi do tego, że często twórcze pomysły i ciekawa inicjatywa nie mają szerszego roz- machu i zastosowania, wędrując na terenie małego podwórka kulturalnego. A wielki już czas skończyć z kramikową, czy podwórkową praktyką kulturalną.

Brak wspólnych wytycznych, chałupnicze metody cechują nie tylko szkolenie pracowni- ków świetlic. Jest to choroba nagminna na terenie oświaty i kultury. Jeden z dzia- łaczy oświatowych opowiadał, że niedawno w Warszawie było czynnych sześć kursów dla bibliotekarzy, prowadzonych przez róż-

ne nie powiązane ze sobą organizacje, choć o jednakowych zamierzeniach. Wynikiem te- go były nieduże zespoły słuchaczy na każdym z kursów, rozproszonych w sześciu budyn- kach, wydatki na sześć aparatów kierowni- czych i gonitwy za wykładowcami. A prze- cież przy istnieniu centralnego ośrodka, pla- nującego i kontrolującego tego rodzaju zio- da się łatwo usunąć.

Organem badawczym oraz instrukcyjno-po- mocnym masowego ruchu kulturalnego miał być Centralny Instytut Kultury przy MKiS. Niestety CIK pozostał sztucznym i cieplarnianym tworem, który nie zaważył na naszym życiu kulturalnym, a zaciążył na nim tylko... pokażną sumą subwencji pań- stwowej, wydawanej na martwą placówkę kulturalną. Do jakiego stopnia CIK w swych poczynaniach stoi na uboczu od głównego nur- tu życia społecznego i kulturalnego naszego kraju świadczy chociażby ten fakt, że na kon- ferencji zwołanej przez CIK w lutym br., po- święconej sprawie kształcenia pracowników kulturalno-oświatowych, w głównym refera- cie pominięto rolę i udział mas pracujących w tworzeniu kultury, nie połączysz tego zagadnienia ze społecznymi problemami współczesnego życia. W odpowiedzi na tak poważny zarzut prelegenta oznajmiła, że po- jęcie masy wchodzi w grę tylko „gdy zjawia się problem władzy” i że „świadomość kul- turalna w przeciwieństwie do politycznej i społecznej nie jest obudzona”. Jasne, że w oczach prelegentki świadomość społeczna i kulturalna są oddzielone od siebie chińskim murem. W dyskusji prowadzonej w tym sa- mym duchu padł głos, że „problematyka ide- ologiczna wysunięta dziś na pierwsze miejsce zmniejsza czujność na sprawy oświatowe”. Cały ten kompleks pojęć przeciwstawiający „kulturę”, „oświatę” — „polityce” wydaje się archaiczny i sprzeczny ze zdrowym rozumie- niem zadań kultury w ustroju Demokracji Ludowej. Na szczęście CIK w dotychczasowej postaci kończy swój jałowy żywot.

O DOBREJ WOLI I BRAKU POZIOMU.

Dziedzina kultury, jak wiadomo, jest bar- dziej skomplikowana i subtelniejsza od wielu innych. Ciekawa inicjatywa i dobra wola or- ganizatorów mogą być zaprzepaszczone, je- żeli nie ma wnikliwego stosunku do sprawy, jeżeli brak jej poziomu, jeżeli nie są uwzględ- nione psychika, nawyki myślowe, różne tra- dycje i potrzeby duchowe odbiorców kultu- ry. Parę przykładów. TUR prowadzi akcję odczytową dla mas pracujących na terenie całego kraju. Poczynanie dobre. Ale jak to wygląda w praktyce?

Gdy szłam niedawno ulicami Szczecina, rzucił mi się w oczy duży afisz TUR-u, po- dający tytuły odczytów, wygłaszanych przez profesorów Politechniki Gdańskiej dla mas pracujących Szczecina. Czytam: „Historia klasycznej muzyki”, „Refleksje i sugestie architektury”, „Impresjonizm w sztuce i li- teraturze” itd. — brzmiały ciekawe tytuły odczytów. Ale czy mogą one „chwycić” nie- wyrobionego słuchacza, czy od tego trzeba zaczynać akcję odczytową TUR-u dla robotni- ków — pomyślałam z trwogą. Na miejscu sprawdziłam jak przyjęto prelekcje. Okazało się, że frekwencja po każdym odczycie ma- lała niepokojąco. Zmarnowany wysiłek, jak wystrzał w powietrze. W wyniku — zniechę- cenie i rozgorczenie słuchaczy, że samopo- czucie prelegenta, daremny wydatek. W Ło- dzi styszałam znowu o innym pomysle tu- rowców. Szukano na gwałt prelegenta do ry- zykownego tematu: „Dusza mas i losy Pol- ski”. Zdaje się, że amatorów do wygłoszenia takiego referatu nie znaleziono. Podaje przy- kład najgorszy, nie przecząc oczywiście, że nie cała akcja odczytowa TUR-u wygląda w ten sposób.

JULIUSZ ŻUŁAWSKI
POLE WIDZENIA
(wiersze z lat 1940—1946)

Cena zł. 100

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”

Powróćmy jednak do zagadnienia poziomu. Do truizmów już należy twierdzenie, że o sprawach danej techniki może sądzić tylko człowiek z nią obeznany. Ale tę zasadę rzadko stosuje się do kultury, nie uważa się bowiem, że do kierowania życiem kulturalnym potrzebne są również kwalifikacje i poziom umysłowy, że samo zajmowanie pewnego stanowiska nie wystarcza. Jeżeli człowiek powołany do kierowania pracą kulturalno-oświatową jednego z OKZZ-tów mógł autorytatywnie zażądać w pewnej świetlicy robotniczej, aby na reprodukcji zakleiono naga pierś Wenus z Milo „bo to gorszy młodzież”, to jakież może być poziom jego pracy, jakież sterowanie kulturą? Czyż nie cuchnie to kołtunstwem sklepikarza w nowej szacie „Świetoszka” molierowskiego, przenikającego i na teren robotniczy? Zbyt dużo faktów świadczy, że praca kulturalno-oświatowa Zw. Zawodowych nie grzeszy wysokim poziomem i w tej dziedzinie trzeba dokonać przełomu. O tym, że mamy za mało dobrych i kulturalnych organizatorów życia świetlicowego, instruktorów artystycznych, powinni wiedzieć, przede wszystkim kierownicy pracy kulturalno-oświatowej Związków Zawodowych. Brak zrozumienia tej oczywistej prawdy wyraźnie występuje chociażby w instrukcji CKZZ w sprawie ogólnopolskiego konkursu teatralnego, skierowanej do wszystkich świetlic, gdzie proponuje się samym świetliczanom wraz z kierownikami dobieranie sztuki, podkreśla się przy tym specjalnie znaczenie sztuk o „reformie rolnej”, upaństwowieniu przemysłu, upowszechnieniu oświaty, upowszechnieniu kultury i sztuki”, a zatem sztuk, które obrazowały by „aktualne przemiany społeczne i obyczajowe”, piętnowały „wstęcznictwo, sabotaż, korupcję”.

Pytamy gdzie są takie sztuki, i czy w tak uproszczony sposób, pojęcie „zamówienie społeczne” pobudzi świetliczan do stworzenia podobnych sztuk?

Gdyby podobne zalecenie (nawet tak prymitywnie sformułowane, bo sztuka obrazuje nie reformę rolną ale zmianę stosunków ludzkich — na tle przemian społecznych) zostało skierowane i do oddziałów Zw. Literatów dla powiązania ich z pracą świetlic w przygotowaniu się do konkursu, to niewątpliwie dało by lepszy efekt.

Wbrew dobrym intencjom autorów instrukcji, nie sprzyja ona podnoszeniu poziomu pracy artystyczno-kulturalnej naszych świetlic, co słusznie podkreślił już Ryszard Matuszewski w swym artykule „Świetlicowe doświadczenia”.

Nie chcę być źle zrozumiana. Właśnie w świetlicy, przez udział w zespołach teatralnych, pisanie wierszy, sztuk, młodzież robotnicza i wiejska nie tylko będzie wyżywać się artystycznie, ale i tworzyć nowe wartości kulturalne. Jest to jedna z dróg powstawania nowych talentów. Ale ten proces powinien być kierowany, potrzeby, gusty artystyczne młodzieży muszą być kształtowane na najlepszych wzorach klasycznych. Nie wolno poddawać się demagogii, popierać grafomanstwa, czy publicznie demonstrować bardzo słabą produkcję artystyczną tylko dlatego, że zrobili ją sami świetliczanie.

Dziś świetlice mnożą się nie tylko w mieście, ale i na wsi. Świadczy to o tym, że uczestnictwo mas pracujących w życiu kulturalnym narodu przybiera na sile. Ale i na tym słońcu są też plamy. Zbyt wielu gospodarzy opiekuje się świetlicami, bo i Zw. Zawodowe i Samopomoc Chłopska i różne towarzystwa i organizacje młodzieżowe i stronnictwa polityczne i poszczególne instytucje. Finansowanie świetlic, uposażenie kierowników (najczęściej niskie), metody kierowania świetlicą zależą od dobrej woli licznych gospodarzy. Krótko mówiąc, świetlice nie mają jednolitych źródeł finansowych, pozbawione są centralnego ośrodka instrukcyjno-metodycznego, nie są stale kontrolowane, lecz od przypadku do przypadku.

W Łodzi np. po jednej stronie ulicy źle pracująca świetlica pod Zarz. Centr. Zw. Zaw. Włóknarzy ma stosunkowo duże subwencje pieniężne, które marnuje, po drugiej stronie dobrze pracująca świetlica metalowców z kierownikiem „z prawdziwego zdarzenia” boryka się z wielkimi trudnościami, bo gospodarz świetlicy Centr. Zarz. Zw. Zaw. Metalowców rezyduje w Katowicach i trochę po macoszemu odnosi się do swych odległych od centrum świetlic.

Rozmach żywiołowego ruchu świetlicowego okazał się większy niż możliwości właściwego kierowania nim i podnoszenia jego poziomu. Stąd treść pracy świetlicowej jest często przypadkowa, jednostronna. Dużo świetlic pasjonuje się teatrem, młodzież wyżywa się w tańcach, w śpiewie, 125 tys. uczestników liczą dziś ochotnicze zespoły teatralne. Wszędzie to świadczy o szerokości nurtu kulturalnego, zasilanego samorodną twórczością mas pracujących. Ale przy tym zaniedbuje się pracę oświatową. Akcja odczytowa na terenie świetlic źle się rozwija, tak samo jak i praca samokształceniowa. Świetlice nie popularyzują dobrej książki, słabo rozwija się czytelnictwo.

Poza tym sporo świetlic istnieje tylko nominalnie, bo prawie żadnej pracy nie prowadzi. Udział młodzieży w takich świetlicach, jak pisze wizytatorka łódzkiej świetlicy, sprząda się do tego, że „przyjda, zajrzą, posiedzą trochę, ponudzą się i odchodzą”.

Martwe świetlice powstają też z innych przyczyn. Po pracy robotnik śpieszy do domu i jeżeli mieszka daleko, to oczywiście nie wraca do świetlicy pomieszczonej przy fa-

bryce. Powstanie świetlic terenowych czy dzielnicowych zachęciłoby robotników do udziału w życiu świetlicowym. W ośrodkach robotniczych, jak Łódź czy Katowice, coraz częściej dają się słyszeć głosy, domagające się właśnie takich świetlic, gdzie mogliby się spotkać robotnicy i pracownicy z różnych fabryk i zakładów pracy. Dziś nie stać nas na dobrą obsadę setek i tysięcy świetlic w mieście czy na wsi. Dlatego trzeba na początku stworzyć kilka wzorowych dzielnicowych, międzyfabrycznych domów kultury, przy zachowaniu istniejących już świetlic.

Powstanie centralnego ośrodka planującego i kierującego akcją masowych form pracy oświatowo-kulturalnej, przyspieszy zorganizowanie w miastach i na wsi wzorowych domów kultury, domów społecznych, czy ludowych. Właśnie tak pomyślane placówki kulturalne mogłyby promieniować w terenie nie tylko poprzez dobrą pracę u siebie, ale również przez zorganizowanie swego rodzaju poglądowej poradni dla pozostałych świetlic. W domach kultury trzeba przyciągnąć do pracy naukowców, literatów, artystów, reżyserów, plastyków, muzyków, bo tylko wtedy można będzie podnieść domy kultury na wysoki poziom. Ale znowu dokonanie tego przełomu może być osiągnięte jedynie przy istnieniu scentralizowanych ośrodków dyspozycyjnych, kierujących całym ruchem świetlicowym zarówno w mieście, jak i na wsi.

JAK Z KULTURĄ NA WSI?

Jeżeli wielotorowość organizacyjna, maza ideowa, i wadliwa gospodarka kadrami kulturalno-oświatowymi źle się odbija na upowszechnieniu kultury w mieście, to tym bardziej boleśnie te choroby wzrostu dają się odczuwać na wsi, gdzie zacofanie kulturalne pozostawiło głębsze ślady, i stąd ofensywa kulturalna wymaga większej jednolitości i zespolenia wysiłków. A tym czasem okazuje się, że na terenie przeciętnego powiatu wiejskiego tylko... 17 różnych autoramentu organizacji, czynników, placówek, instytucji zabiera głos w sprawach kultury, i to każda według własnego widzimisie „upowszechnia kulturę”. Słusznie zauważył Ksawery Pruszyński w „Odrodzeniu” — „Czyżby nie było lepiej, aby tę kulturę knociło mniej ludzi, mniej czynników, resortów, referatów, oświatowców, kulturalników”, tym bardziej, że działalność licznych towarzystw na polu kultury sprowadza się często do oplatania etatu referenta, lub instruktora do spraw kulturalno-oświatowych, a jeden i drugi dla zabicia czasu rozsypały w teren niepotrzebne okólniki, instrukcje, ankiety, wskazówki.

Tak poważne placówki na wsi, jak Uniwersytety Ludowe, mają wielu gospodarzy. Na terenie całej Polski czynnych jest 67 U.L.-ych, w stadium organizacyjnym znajduje się 22 U.L. Proświdzone są przez Min. Rolnictwa i Min. Oświaty, „Wici” i ZWM, Zw. Sam. Chłopskiej i ZNP itd. Przy tym rozproszeniu dyspozycyjnych ośrodków U.L. zdarza się niejednokrotnie, że ilość słuchaczy nie jest o wiele większa od zespołu pedagogicznego. Są wypadki, że U.L. liczą kilku, lub kilkunastu słuchaczy. Jeżeli do tego dodamy fakt, że większość zespołu kierowniczego i pedagogicznego U.L. według danych Min. Ośw. nie dorasta do swych zadań wychowawców młodzieży wiejskiej, w nowych warunkach ustrojowych i stoi na poziomie wiedzy zaledwie nauczyciela szkoły powszechnej, to znowu trzeba stwierdzić, że marnuje się energia ludzka, grosz publiczny bez pożądanego rezultatu. W tym chaosie kompetencyjnym, Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych sprawuje nadzór ideologiczny — metafizyczny i do pewnego stopnia zasila U.L. kadrami starych działaczy TUL-owych.

Bezdroża organizacyjne U.L. pogłębia zamęt ideowy. Do teorii agraryzmu, mistycznej egzaltacji i gloryfikowania personalistycznej pedagogiki, ideowej podstawy starszych działaczy TUL-owych, dochodzą przypadkowo wyłonione koncepcje programowe i wychowawcze licznych gospodarzy i opiekunów U.L. Stare przysłowie ludowe powiada, że gdzie nianiek wiele, tam dziecko bez oka.

Delegatura T.U.L. województwa poznańskiego ocenia w następujący sposób działalność U.L. na swoim terenie: „Cała praca na stawiona jest na wychowanie w duchu przedwojennym. Niema żadnej współpracy z partiami politycznymi. W programach ani słowa o sojuszu robotniczo-chłopskim, o wpływie reformy rolnej na życie na wsi”. Natomiast klepanie ogólników „w świetle etyki chrześcijańskiej na zasadach eugeniki” i, że „człowiek, naród, ludzkość, życie rozwój i doskonalenie się — to dewiza T.U.L.” — są na porządku dziennym. To cechuje nie tylko U.L. w poznańskim. Ale np. i w U.L. w Gaci omawiane są też podobne abstrakcyjne, metafizyczne tematy: „Między uczuciami a rozumem” albo „Po co człowiek żyje”. Wspomniane nastawienie pewnych U.L. na „doskonalenie osobowości” swych wychowanków, w oderwaniu od konkretnych zadań życia dzisiejszej wsi polskiej, jest niepokojące przez to, że do dziś dnia z donkiszotowskim uporem pewni działacze ze starego T.U.L. nadal trwają na swych pozycjach. O tym wymownie świadczy jubileuszowy Nr (20-lecie „Wici”), „Chłopów i Państwa”, niedawno wydany.

Bez wszelkich komentarzy, czy krytycznej oceny przedrukujemy się pierwszą deklarację „Wici”, w której czytamy: „W poczynaniach swoich nie ustalamy czynnego stosunku do bieżących zdarzeń politycznych, dokonywających się w życiu państwowym”, choć praktyka radykalnego ruchu wiciowego była słusznym „odstępstwem” od tego punktu, deklaracji, wyszłej z obcych ideowych źródeł.

Apoteza tradycyjizmu wiejskiego, odgrzewanie agraryzmu, schlebienie wsiowej teźni moralnej i potępienie „wynaturzonych ludzi kultury miejskiej” (z artykułu Dębskiego) w myśl znanej tezy, że „Odrodzenie cywilizacji przyjsie może z tego środowiska, które najmniej uległo wypaczającym wpływom mechanizacji, w którym osobowość jednostek jest harmonijnie rozwinięta, bez podziałów na obce sobie dziedziny.

Środowiskiem tym jest wieś, są chłopci” (Z deklaracji „Wici” 1945 r.).

Ta postawa antycywilizacyjna i antymiejska, dotychczas hodowana w niektórych U.L. szkodzi kulturze wsi i zamyka świat wychowanków U.L. w opłotkach wiejskich. Słowa Marksa krytykującego pewnych apologetów zacofania wiejskiego, trafiają i w naszych rodzimych kadziachłopów, którzy też reprezentują „nie oświecenie chłopca, lecz jego ciemność, nie jego rozsadek, lecz przesąd, nie jego przyszłość, lecz przeszłość”.

Praca niektórych U.L. bez określonego programu (bo „program jest nieistotny, gdyż decyduje osobowość kierownika”), zmierzającego do „przebudowy duszy”, wywołania „doznań”, „wzruszeń” i budzenia „jaźni” wychowanka, przy bałwochwalczym stosunku do osobowości wychowawcy — wszystko to stanowi system wychowawczy sprzeczny z rozumieniem roli przodownika społecznego na wsi z czynną postawą chłopca, przeobrażającego dziś życie swoje i całego kraju.

Mimo niewątpliwych zasług starych U.L. w wychowywaniu radykalnych działaczy ruchu ludowego — z pewnych błędów i widm przeszłości, pogłębiających separatyzm wsi, dzisiejsze U.L. powinny się wyzwolić. Niektóre U.L. już skutecznie przezwyciężają to „kształtowanie wewnętrznej wartości człowieka”, zawieszono w próżni społecznej.

Pod tym względem, ciekawe jest doświadczenie już 4 kursów pracy U.L. w Większych na ziemi Opolskiej. O nowych wytycznych pracy tego U.L. dowiadujemy się z przemówienia kierownika U.L. Hahna na otwarcu IV kursu. Krytykując założenia starych U.L., powiada on: „Śmiesznym byłby człowiek, który by pracował wyłącznie nad sobą, nad pogłębianiem swego życia wewnętrznego, który by chciał rozwijać i kształcić swój charakter, swoją osobowość w oderwaniu się od świata, od zagadnień współczesnych, jedynie, by wykuwać piękny charakter. Mówiąc zaś o pozytywnych zagadnieniach dzisiejszych U.L. Hahn podkreśla, że potrzebna nam jest: „nie jednostka, zapatrzona na siebie, w swoją osobowość, w swoje życie

wewnętrzne, nie jednostka osamotniona społecznie — ale potrzebna nam jednostka w ruchu społecznym, jednostka w organizacji, instytucji, w związkach i towarzystwach, w świetlicy, w organizacjach gospodarczych, w Zw. Samopomocy Chłopskiej, w Gminnych Spółdzielniach Sam. Chłopskiej, w organizacjach młodzieżowych...”

Jednostka nie jest abstrakcją — jest całością kształtem stosunków społecznych”.

Poza nauką w znaczeniu ideologicznym jako wynik swej pracy i kurs w Większych przekazał II kursowi wzorowy ogród, opracowane metody udziału w samorządzie, wzory gazetki ściennej, wzorowe referaty. II kurs w warunkach surowej zimy „uragajacym wszelkim termometrem” objeżdżał powiat kozielski „głosząc słowo polskie” z inscenizacją „Szopki krakowskiej” w opracowaniu Cierniaka.

Z wypowiedzi dzisiejszych wychowanków U.L. w Gaci dowiadujemy się, że wielu z nich pragnie dalej się kształcić w potrzebnych dla wsi zawodach. „Gdy wyjdę z U.L. — pisze jeden z nich — mam zamiar iść do szkoły mechanicznej zawodowej. Przeglądnięmy się, wiele jest wiosek nieelektryfikowanych...”. Inny znowu podkreśla, że „młodzież chce kształcić się, tylko nie wiedzą jak do nauki się zabrać”.

Te głosy słuchaczy U.L. świadczą o tym, że właśnie U.L. powinny skierować zainteresowanie swych wychowanków na określony tor. Ale szukanie tego toru po omacku zbyt drogo nas kosztuje. Dlatego przedyskutowanie wytycznych pracy U.L. w warunkach nowej rzeczywistości polskiej i rzetelne opracowanie jednolitego programu U.L. stało się dziś palącą sprawą. Poza wspólną światopoglądową — społeczną treścią programu, jednokową dla wszystkich U.L., powinny być te programy tak zróżnicowane by mogły dać słuchaczom przysposobienie fachowe dla pracy społecznej w różnych dziedzinach specjalnie ważnych dla wsi, a mianowicie w spółdzielczości, w samorządzie wiejskim, w „Służbie Polsce” pracy kulturalno-oświatowej itd. U.L. nie mogą i nie powinny być szkołą piekudochów, rozprawiających abstrakcyjnie o sensie życia, szkołą pomylonych filozofów wiejskich, specjalistów od duszy, lub „doskonalenia osobowości”, w oderwaniu od życia, jak to zalecano na zjeździe T.U.L. w 1945 r. w Pabianicach. U.L. powinny dać jasną podbudowę światopoglądową, przygotować aktywistę wiejskiego do praktycznych, realnych zadań, do przodowania w życiu społecznym. Wychowanie nowego człowieka, oraz ukształtowanie jego ideałów i charakteru bynajmniej nie będzie pozbawione (jak tego obawiają się starzy tułowcy) przez zdobywanie organizacyjno-technicznej sprawności i wiedzy o spółdzielczości czy samorządach, lecz odwrotnie, dopiero w powiązaniu z „prozą” codzienności, praca wychowawcza nabierze rumieńców życia i sensownej, realnej treści.

Dziś U.L. będą miały rację bytu, jeżeli się wzmocni ideowo i fachowo zespół pedagogiczny stąd polepszy się ich jakość, kosztem zmniejszenia ilości. Jeżeli systematyczne szkolenie i dokształcanie kadr kierowniczych i pedagogicznych dla U.L., stanie jako paląca potrzeba na porządku dziennym odpowiednich organizacji, a przede wszystkim Min. Oświaty, jeżeli U.L. oparte będą o jednolite podstawy programowe i prawne, jeżeli usunie się walkę o kompetencje między licznymi opiekunami U.L. i zmniejszy się ilość opiekunów.

KTÓREDY DROGA?

Z analizy i zestawienia szeregu faktów, z rozważań nad obecnym stanem działalności masowych organizacji kulturalno-oświatowych, z ich niedoradkami, powstających na ogólnym tle, wzmocnienia potrzeb kulturalnych narodu, z rozbudowania życia kulturalnego mas pracujących, wypływa konieczność scalenia rozproszonych wysiłków poszczególnych organizacji, konieczność stworzenia centralnego ośrodka kierowniczego i kontrolnego dla całości akcji kulturalno-oświatowej.

Znaczenie takiego ośrodka nie sprowadziłoby się do organizacyjnych, doradczych efektów, i nie tylko zaoszczędziłoby państwu pokazy sum pieniężnych, nie tylko dopomogłoby racjonalniej zastosować energię pracowników kulturalno-oświatowych, lecz miało by pozytywny wydźwięk polityczny i ogólnonarodowy.

Rozkawałkowanie pracy kulturalno-oświatowej na niezależne od siebie organizacje miejskie i wiejskie, świadomie lub nieświadomie pogłębiające separatyzm środowisk wiejskiego i miejskiego — hamuje dziś proces tworzenia się jednolitej kultury narodowej.

Zarówno szkodliwe teorie agraryzmu, jak i przewijające się czasami poglądy o budowaniu odrębnej kultury proletariackiej — łąt. wiej i gruntownie zostaną przezwyciężone przy powstaniu ośrodka koordynującego masową akcję kulturalną wsi i miasta.

To właśnie stworzy możliwość wzmocnienia ideowo-wychowawczych koncepcji ruchu ludowego, poprzez jasność naukową i powiązanie teorii z praktyką marksistowskiego światopoglądu klasy robotniczej, a z drugiej strony zasili twórczość kulturalną miasta zdrowym nurtem kultury ludowej.

W ten sposób proces upowszechnienia kultury wyzwoli się z ciasnych opłotków kultury ludowej, czy robotniczej, wkroczy na szeroką drogę rozwoju kultury, prawdziwie narodowej.

Jadwiga Siekierska

REZOLUCJA

LITERATÓW — CZŁONKÓW PPS i PPR

Literaci zgromadzeni na wspólnym zebraniu kół literackich PPS i PPR w dniu 21 kwietnia 1948 witają z najgłębszą radością decyzję obu partii w sprawie zjednoczenia organizacyjnego polskiej klasy robotniczej.

W decyzji tej widzimy ważny etap na drodze do zwycięstwa polskiej klasy robotniczej w walce o pokój, demokrację i socjalizm.

Jesteśmy świadomi doniosłych zadań, jakie stoją przed nami na tym nowym etapie.

W chwili, kiedy świat kapitalistyczny zagraża samemu już istnieniu kultury, w chwili, kiedy z całą jasnością okazało się, że jedynym spadkobiercą i obrońcą dorobku kulturalnego całej ludzkości są masy ludowe, uważamy za swój pierwszy obowiązek obronę zagrożonych wartości kulturalnych przez

danie masom w ręce takiej literatury, która byłaby skutecznym orężem ideologicznym. Dotychczasowe rozbiście klasy robotniczej utrudniało obozowi postępu walkę z tymi szkodliwymi tradycjami literatury, które decydowały o jej elitarności i niejednokrotnie ideologicznej wrogości wobec spraw jednokowo drogiej całej klasie robotniczej.

Zjednoczenie organizacyjne polskiej klasy robotniczej sprzyjać będzie takiemu ukształtowaniu obiektywnych warunków społecznych i gospodarczych, które znakomicie zwiększą zasięg oddziaływania literatury.

Jesteśmy zdecydowani dać nowemu, masowemu czytelnikowi książki czytelne, odpowiadające potrzebom i nadziejom mas ludowych, kształtujące ich ideologię w duchu postępu i demokracji.

STANISŁAW WYGODZKI

(II)

D

B

Y

W

P O tej rozmowie przypomniałem sobie, że w ciągu najbliższych nocy nie przypada mi nocna służba i nie będę mógł wyostać siołka. Najbliższy dyżur przypadał Antkowi K., który wywołał kilka dni temu tę awanturę ze strażnikami.

— Ty Zydzie — nie wymawiał 2, tys mnie obskarżył przed blokowym kiedy mnie Niemiec wołał — jak chcesz możesz mieć dyżur za mnie, ale ja ciebie nie zastąpię, musisz dyżurować za siebie i za mnie.

Wydał wargi, rumiany i pyzaty. Głupiec chwalił się, że zakpił ze strażnika, ale czemu zwał odpowiedzialność na mnie za ten postęp? Nie próbowałem nawet oponować, wyraziłem skwapliwie zgodę i tej samej nocy wykopałem siołko. Nazajutrz pokazałem zawiniątko inż. L. Skrzywił się. Zawiniątko było dość okazałe i wręczając mu je pomyślał zapewne, że jestem kłamcą, bo zaledwie wczoraj twierdziłem przecie, że wierszy nie spisywałem, a teraz podsunąłem mu spore zawiniątko. Kłamstwo, nawet w Oświęcimiu, miało krótkie nogi. Zapytał czy napisałem nazwisko na kartkach. Powtórzyłem mu treść kartki dołączanej do paczki. Prosiłem w niej nieznanego odbiorcę, którego nazwisko bez przerwy powtarzałem, aby przeczytał te wiersze do lepszych czasów. Podałem nawet tytuł jaki ma zdołać tomik, który może ktoś zechce po wojnie wydać gdybym ja zginął. Podpisałem pełnym imieniem i nazwiskiem. Nie zapomniałem dołączyć podziękowania i teraz proszę Barbarę R., jeśli przeczyta to opowiadanie, aby zrozumiała czemu się upierałem przy tytule tomu, który przyjęła do swego wydawnictwa. To jest właśnie ten oświęcimski tytuł. Trzy, czy cztery dni później po przeglądzie dokonany przez dr. Zenka, inż. L. jak było do przewidzenia, wrócił na obóz. Następnego dnia wyczekiwałem w bramie bloku nadejścia komanda Leona z którym miał przyjść również inż. L. Komando jednak nie nadchodziło. Minęła 9-ta i 10-ta, komando już powinno było dawno być i traciłem cierpliwość. Tego dnia nie przyszli. Byłem mocno zaniepokojony. Co będzie jeśli inż. L. zawiódił pokładane w nim zaufanie? Jeśli wykorzystał moje zaufanie i sygnął mnie? Na szczęście nie miał jeszcze paczki. Zawiniątko, związane sznurkiem włożyłem pod belkę w ustępach. Ponieważ pełniłem służbę w bramie, najpewniej pierwszy spostrzeże nadchodzących drabów z Politische-Abteilung, gdyby zmierzali ku naszemu blokowi, a wówczas zdążyłbym jeszcze wrzucić paczkę do dołu kloaczego, ale dzień minął spokojnie. Nazajutrz Leon przywiódł swoich ludzi. Inż. L. skoczył na mój blok, skąd go wypatrywałem przez otwartą bramę. Rozejrzał się szybko:

— Niech pan przyszykuje. Zabiorę po pracy, gdy wrócimy do obozu.

Pracę kończyli zazwyczaj około 16-ej, ale tego dnia około południa przyszedł, pospiesznie do bloku.

— Słuchaj pan, dr Zenk wypędza nas z roboty. Goryl się wściekł, bo dziś spostrzegł, że droga, którą robimy od 2 miesięcy jest zaledwie w połowie wykonana. Dawaj pan paczkę.

Wyciągnąłem ją z pod belki i wręczyłem. Wrócił szybko pod pralnię, gdzie komando głośno lajane przez dr. Zenka ustawiało się już piątkami. Głosu nie słyszałem, widziałem tylko jak machał gwałtownie nazbyt długimi łapskami. Capo Leon przebiegał wzdłuż gromady, zapewne rugał ludzi, należało to do taktycznie mądrych posunięć capów. W takich wypadkach, aby usprawiedliwić własną nieudolność wynikłą z pobłażliwości względem podległych sobie ludzi, musiał nawet dzielić przez łeb jednego i drugiego. Wreszcie ruszyli ku bramie. SS-man pełniący w niej wartę, zadowolony z wymyślan dr. Zenka uśmiechnął się i przepuścił ich bez rewizji. Za bramą popędzani przez dr. Zenka ruszyli w stronę obozu drobnym, utykającym klusem. Wiem, że udawali bieg. Nie śpieszyli się, o bynajmniej się nie śpieszyli do obozu. Czekali tam raport, a dla mnie zaczęła się ogromna udręka.

Co się stanie jeśli powracających wezmą do galopu? Jeśli każą im padać i wstawać, lub czołgać się na brzuchu wzdłuż całej drogi obozowej, jeśli ich wreszcie zrewidują? Znać ten stan umysłu, gdy własną niepewność pragniecie niejako ściszyć argumentacją zaczerpniętą z dziedziny imaginacji gdzie obraz przesłania myśl, myśl zaś szuka realizacji w obrazach, które zdają się być przystaniem spokoju i ciszy. Byłem osaczony. Poprzez druty widziałem swoją paczkę porzuconą przez inż. L., który w obawie przed rewizją u wejścia do obozu rzu-

cił ją po to, by najbliższy patrol podjął ją, by przetrząsnąć jej zawartość. Odczytują na mojej kartce nazwisko, śmieją się, popychają się łokciami ubawieni niecodziennym zgoda wydarzeniem, bo jeśli przechwytywano listy, to nigdy przecież na nich nie widniały nazwiska. Nikt z komanda Leona nie przyznał się do zguby, ale co ja uczynię? Widziałem Raport „führera” naszego szpitala. Stał przed bramą, oparty o okno swego bloku, cnił papierosa. W pewnej chwili wszedł do swego bloku. Widocznie telefon go wzywał. Ktoś podawał mu moje nazwisko. Nie rozumiał go. Tamten uwięszony u słuchawki literował mu: W wie Walter, y wie Ypsilon, g wie Gustaw... Powiadał mi go o znalezieniu paczki zaadresowanej do nieznanego odbiorcy, ale sygnowanej pełnym imieniem i nazwiskiem. Czy wie kto przechodził drogą w ciągu ostatniej pół godziny? Raportführer wiedział, zaraz, zaraz sobie przypomni dokładnie...

Co myśli człowiek, który wie, że oprawy mają w swym ręku dowody jego przestępstwa, przestępstwa zamierzonego z pełną świadomością, bo jakże inaczej można wythumaczyć treść mego listu, skoro była niedwuznaczna, jasna aż do przerażenia. I ten podpis! Przecież z kartki wynikało, że była przeznaczona dla kogoś na wolności. Kim jest ten człowiek i kto miał mu tę paczkę wręczyć. Przecież nie więzień, to jasne. A więc ktoś z obsługi obozu, a więc trzeba go wykryć, wykryć za wszelką cenę, może wówczas zapomną o istnieniu cywilnego robotnika? A jeśli nie? Jeśli właśnie pójdą po jego tropie, bo SS-mani chyba zasługują na zaufanie swoich przełożonych. Dali wielokrotnie temu świadectwo, wysypując więźniów, których od miesięcy nakłaniali do ucieczki, a których wydawali za 2-3 kilometrem poza obozem wyciekającym już strażnikom. To takie jasne, że poszukiwania pójdą w kierunku gdzie przebywa cywil, a nie SS-man. Będą go oczekiwali przy wyjściu z obozu, a może już wyszedł i waczając motocyklem mknął za nim po wyboistych drogach? W podobnych wypadkach najgorszą rzeczą jest chęć zupełnego wcielenia się w osobnika, który ma mnie badać i którego pytania muszę przewidzieć, myśli przejrzyć, metody przez niego obmyślane odparować metodą własną i niezawodną, a tak zaskakującą, jak zaskoczył może pytanie człowieka, którego nie znam, o którym nie wiem. Czy ja naprawdę nie wiem? Przecież wiedziałem wszystko: wie-

działem, że nie będzie pytał, że mnie zdzieli przez pysk, że mnie będzie kopał gdzie popadnie, systematycznie i długo. Sięgając po wzór literacki śledztwa odpychałem rzeczywistość, jeszcze jedna forma inteligentnej ucieczki przed faktami. Rzeczywistość była gorsza. Zwierzę w matni tak się chyba nie czuje, bo ja widziałem ostro, nie zwykle ostro, miałem bowiem za sobą nie jedno doświadczenie, czy ja wiem, całe wieki doświadczeń kilkunastu pokoleń, które jednego jedynego dnia zginęły w komorze gazowej. Tymczasem nikt nie nadchodził z obozu, nikogo nie mogłem więc zapytać jak tam przyjęto powracające komando wyrzucone od nas przez dr. Zenka. Drogą szli 3-ej SS-mani z psami. Wiedziałem za nimi wzrokiem jak długo mogłem. Zaden z nich się nie schylił, widocznie na tym odcinku drogi nie było, ale czy nie spostrzegł czegoś podejrzanego nieco dalej, o teraz, tam za barakiem Raportführera cygańskiego obozu, który dzielił nasz obóz, obóz chorych od roboczego? I wtedy pomyślałem o tym, o czym wy teraz myślicie, czy warto było dla wierszy, nawet najlepszych, a tego przecież o moich powieściach nie mogę, ryzykować i to tak dalece, aby je zaopatrywać w podpis? Może nie warto było, ale była w moim postępie jakaś brawura na jaką niewiele osób w obozie mogło się zdobyć. Nie szukać jednak uzasadnienia tej brawury w mojej rzekomo skomplikowanej psychice, która jest nieskomplikowana i prosta. A może to nie brawura i użyłem złej nazwy dla czegoś co się wymyka zarówno awanturze jak i odwadze? Mój czyn nie była dla nikogo przeznaczony, poza dr. J. nikt u nas nie wiedział o mojej sprawie, nie było więc w moim czynie nic obliczonego na pokaz. Teraz wiem, że postęp mój kompensował mi inne braki mojego obciążonego sumienia, ale jestem szczery, mówię, że mimo realizacji tej kompensaty bałem się. Nie wstydzę się tego wyznania. Strach jest uczuciem bardzo ludzkim i dlatego opowiadałem moje dzieje ludziom, którzy chcą tak zmienić świat, aby w nim nie było bojaźni. Możliwe, że zniknie wtedy uczucie sąsiadujące obok lęku — odwaga, ale komu potrzebna będzie odwaga gdy rozum i jasna myśl wolnego człowieka będzie kierowała światem? Wiem, że się ze mną nie zgodzą ci, którzy twierdzą, że życie bez niebezpieczeństw niewiele jest warte, ale myślę, że wartość moralna takich ludzi jest straszliwie mała, zwłaszcza w konfrontacji z naszym krajem,

gdzie nie tylko dorośli, ale dzieci nawet wloką ze sobą ciężar ogromnego smutku minionej wojny. Spróbujcie ważyć ciężar ludzkiego życia wagą dziecięcego smutku, a przekonacie się, jak naiwność poety widzącego wymaginowany świat ludzkiej szczelności splata się ściśle z ostrym spojrzeniem demokratycznego polityka.

Minęło popołudnie, a ja ciągle trwałem przy bramie bloku, spoglądając na wrota wiodące do obozu, ale nikt do naszego obozu nie wchodził. Wiedziałem, że muszę dobrać do apelu, bo jeśli inż. L. rzucił paczkę i ktoś niepewolany ją podjął, to wszystko się wyjaśni do apelu. Jeśli apel minie spokojnie, będę poza niebezpieczeństwem. Zmierzchało. Uderzono w gong i poczęło liczyć chorych. Obsługa bloku stanęła przed bramą i wtedy właśnie, na kilka chwil przed zakończeniem apelu ujrzałem biegnącego w naszą stronę szrajbera, Zygmunta H. Minął blok w którym się mieściła jego kancelaria, biegł szybko, bardzo szybko, ale chyba nie tak szybko jak ja to widziałem, Machał ręką w której ujrzałem kartkę papieru.

Wiedziałem, że na kartce tej widnieją moje nazwisko podane mu telefonicznie z Politische-Abteilung. Musiał mnie wyłowić i skreślić ze stanu naszego obozu zanim się apel zakończy i zanim dokonają ostatecznego obliczenia obecnych. Jeszcze dziś przejdę do Politische-Abteilung.

Stałem przed blokowym i zdyszany jeszcze pytałem:

— Ty, wiesz co się stało z komandem Leona?

— Nie.

— Jakto, nie. Przecież Zenk przegnał ich stad.

— No więc co?

— Czekaj, czekaj. Ilu ludzi dajesz do roboty, musimy swoimi ludźmi układać tę drogę koło waschrauma, wskazał ręką kierunek łaźni, gdzie widniały zwały kamienia.

— Weź ilu chcesz.

— Zaraz, musimy brać po kilku z każdej obsługi poszczególnych bloków. Nie przyszedł więc po mnie i gdybym wam powiedział, że wtedy odetchnąłem z ulgą, byłaby to czoza retoryka. W podobnych wypadkach człowiek nie pamięta o oddechu, jak nie wie czy powietrze go otacza, czy jest dzień lub noc. Wtedy to odczułem gwałtowny ból brzucha i potrzebę kuśnięcia, ale prawa obozu są mocniejsze od spraw naszego ciała i wytrzymałem.

Zygmunt tymczasem biegał po blokach spisując ilość zgłoszonych na dzień jutrzejszy do pracy. Musiał przy zbieraniu raportu zameldować, czy mu się udało stworzyć obozowe komando do układania drogi, w miejsce komanda Leona. Dr. Zenk zacierał łapska: nareszcie się dostanie sk...synom, nie nie robią niech drogę układają.

— Ale co się stało z inż. L. i moją paczką? Bo jeśli my mamy układać tę drogę, to oznacza to, że Leon już nie przyprowadzi swoich ludzi, a więc i inż. L. i wtedy nie będę już wiedział, czy przeniósł paczkę do obozu, czy porzucił ją, czy wreszcie zdążył ją wręczyć temu cywilnemu robotnikowi, który miał ją wynieść? Byłem już jednak poza niebezpieczeństwem. Porzucona paczka nie leżałaby długo na pustej drodze. Zostałaby spostrzeżona i zabrana. Powoli się uspokajałem, zwłaszcza, że następnego dnia ranek minął spokojnie. Lager-capo Wacław B. poprowadził nas pod łaźnię, na to miejsce, gdzie wczoraj jeszcze komando Leona pracowało i przystąpiliśmy do roboty. Mielśmy pracować do południa, po czym należało wrócić na blok, aby oporządzić chorych, rozdać im obiad, zmyć posadzkę na bloku.

Pierwszego dnia doglądał robót wzmiankowany już Wacław B., ale następnego dnia zjawił się na miejscu pracy człowiek w cywilnym ubraniu i żółtej opaski na ramieniu. Wszyscy fachowcy, nie więźniowie nosili podobne opaski. Przybyły należał do tej wyjątkowej kategorii ludzi, którzy nie nosili ani munduru, ani stroju więźnia, nie mniej należeli raczej do kasty sprawujących władzę w obozie.

Po pracy opuszczali obóz, by nazajutrz wrócić do wyznaczonych im przez kierownictwo zajęć. Nie znałem tego człowieka. Obserwowałem go, pragnąc wiedzieć czym będzie dla nas: poganiaczem, czy kimś patrzącym przez palce na nasze czynności, których nie można było w żadnym wypadku nazwać pracą. Mimo to po upływie 2 dalszych dni okazało się, że pod jego okiem zrobiliśmy więcej, znacznie więcej aniżeli komando Leona w okresie dwutygodniowym. Mówił po niemiecku, ale gdy

FEDERICO GARCIA LORCA

ROMANS LUNATYCZNY

Oczy pieszczą zielen, zielen,
Zielen wiatru, zielen sadu,
Okrety na luscze morza,
Konia na przełęczach górskich.
Pośród cieniów koronkowych
Zamarła przy balustradzie,
Zielen ciała, zielen włosów,
Srebro w oczu jej otlachaniach.
Oczy pieszczą zielen, zielen,
Pod księżycą sierpem słwym
Patrzy w oczy jej Cyganka,
Ale ona jej nie widzi,
Ślepa i wszystkim obca.

Oczy pieszczą zielen, zielen,
Gwiazdy błyszczą zinnym szronem,
Poprzez gesty smole cienia
Torując świątowi drogę,
Niecierpliw wicher szarpie
Szorstki liść figowca w mroku,
Wzgórza, jak zdżdziałe koty,
Nastroszyły się wśród agaw.
Któż to przyjdzie? Skąd i kiedy?
Czeka obok balustrady,
Zielen ciała, zielen włosów,
Gorycz morza w studni oczu.
— Zamienimy się, przyjacielu,
Konia dać za dom nie szkoda,
Dam za lustro siodło moje,
A za płaszcz — nawachę moją.
Szedłem brocząc krwila, mój drogi,
Przez górskie przełęcz szedłem.
— Wiedz, pogodziłbym się z tobą,
Lecz nie jestem niezależny,
Bo nie jestem teraz sobą,
Dom mój nie jest moim domem.
— Przyjacielu, jeśli trzeba
Umrzeć, niech na łóżku skonom,
Na tym łóżku, na żelaznym,
Gdzie powięzła z płótna leży —
Pierś rozprutą mam do serca.
Czy nie widzisz mojej rany?
— Trzysta smagłych róż się pali
Na kosciały twej podartej,
Pachnie krew, twój pas ozdobny
Cały we krwi, przyjacielu.
Lecz nie jestem przecież sobą,
Dom mój nie jest moim domem.
— O, pozwólcie mi się zbliżyć

Do wysokiej balustrady,
O, pozwólcie mi się zbliżyć
Do zielonej balustrady,
Do wysokiej, księżycowej,
Tam, gdzie woda szumi, płyta!

Poszli razem dwaj Cyganie,
Wspieli się ku balustradzie,
Zostawiając ślady krwiawe,
Lzawe ślady zostawiając.
Dygotali ich łataki
Pod dachami blaszanymi.
Tamburyny wiatru były.
W cisze snu przedświtowego.

Oczy pieszczą zielen, zielen,
Zielen wiatru, zielen sadu,
Oto wstali dwaj Cyganie
I stanęli obok siebie.
Wiele wicher, siejąc gorycz
Zółci, młoty i lawandy.
— Powiedz, drogi przyjacielu,
Gdzie pociecha twoja gorzka?
Ileż razy tu czekała
I gubila nadaremnie
Świeżość włosów i policzków
Przy zielonej balustradzie!

Na powierzchni wody sennej
Kolysała się Cyganka, —
Zielen włosów, zielen ciała,
Srebro w oczu jej otlachaniach.
Księżyc ostry, biały sopel
Trzymał ją na tafli wodnej,
Zeszły się granice nocy,
Noc się jakby bliższa stała.
Dwaj pijani policjanci
Kolatali w drzwi zamknięte...
Oczy pieszczą zielen, zielen,
Zielen wiatru, zielen sadu,
Okrety na luscze morza,
Konia na przełęczach górskich!

Wolny przekład

Włodzimierz Stobodulkarzuciłem w stronę dr. J., pracującego obok

A T E L

Annie Kamińskiej

mnie pytanie, czy ma coś do palenia, wtrącił do naszej rozmowy zdanie, które nas zaskoczyło swą nienaganną polszczyzną:

— No co, macie papierosy?

Spojrzałem ku niemu. Stał na kupie kamienia, wyższy ponad gromadą więźniów, w granatowej kurtce i wysokich butach zabłoconych, ale dobrze utrzymanych. Było w nim coś z więźnia, jakieś takie zaciekłe cechujące fanfaronów obozowych, karpów i blokowych widoczne w sposobie trzymania ramion, podobnie jak to czynią tancerze dodający ruchem bark tańcowi toku rytmicznego. Teraz wiem skąd pochodziło to podobieństwo: to nie on przypominał prominenta, to prominent, nie mogąc naśladować ss-manów, naśladował w stroju i sposobie trzymania się robotników-cywilów. Może to dawało więźniom jakieś pozory wymagowanego pozaobozowego, wolnego bytu? Czy kierowano się w obozie jakimiś irracjonalnymi przesłankami? Na pewno tak. Rozpanoszenie się religijantwa jest tego najlepszym dowodem. Ludzi wolnych duchem było naprawdę niewiele. Wyssokie buty Ignace ścieśnięte do tyłu dodawały mu jakiejś lekkości, a nieprzyjemnej, bo przywodzącej pamięci ss-manów i ich maniery.

Powtórzył:

— No, macie papierosy?

W jego głosie nie było groźby, ale też nie podchwyciłem nic zachęcającego.

Odparłem, ot tak dla udzielenia odpowiedzi:

— Nie mamy.

— Weź.

Ale gest dłoni nie pokrył się z treścią słowa. Nie podał mi pudełka, tylko kłękawczy wsunął je między kamienie. Odszedł obojętny tą doskonałą obojętnością, jaką przeznaczamy dla przypuszczalnego ukrytego obserwatora i wtedy ja, jakby niechcący podszedłem do miejsca gdzie stał niedawno. Wyciągnąłem pudełko i udałem się do ustępu. Pudełko było pokryte srebrną powłoką, a na niej widniał wytłoczony napis: „Overstolz”. Otworzyłem je. Poza 7-ma papierosami znalazłem zadrukowaną karteczkę. Na żółtym tle widniały czerwone litery:

CIBAZOL

Sulfanilamido-thiazol
Auesserlich

Ciba, Aktiengesellschaft, Berlin.

Kartkę wraz z pominiętym pudełkiem rzuciłem do ustępu i wróciłem do roboty. Dwa papierosy podrzuciłem dr. J. Dwa należało dać blokowi, gwoli przypomnienia swego istnienia.

Nazajutrz znów poszliśmy pod łaźnię. Po drugiej stronie drutów, tam gdzie mieściła się „Kanada” uwijała się gromada ludzi. Od razu poznałem Leona, a po chwili również inż. Ł. W pobliżu stał strażnik, lecz mimo usiłowań nie zdołałem zwrócić na siebie uwagi inżyniera. Wystarczyło mi jednak to, że inż. Ł. żył, że nie wpadł, byłem też od owej chwili zupełnie spokojny o siebie, bo nawet jeśli rzucił paczkę, a konsekwencji tego czynu nie było do tej pory, to albo wiersze leżały w jakimś dole kloaczonym, albo też przedostały się na wolność. Nie przypuszczałem, że mógł je jeszcze mieć przy sobie. I oto teraz spojrzcie czym jest człowiek. Dopóty nie miałem pewności co się z przesyłką stało, dopóty groziło mi niebezpieczeństwo tak długo antycypowałem wszystko o czym człowiek osaczony pomyśleć zdoła, lecz w momencie uspokojenia, gdy niebezpieczeństwo minęło, znów całą siłą woli pragnąłem wiedzieć, wiedzieć, nawet gdyby to pragnienie miało znów przywieźć ku mnie nieszczęście, jakie są losy moich wierszy. Kilka razy w ciągu dnia pomyślałem w stronę drutów, aby krzyknąć na inż. Ł., ale strażnik nie odstępował od komanda. Było to, jak łatwo się domyślać, konsekwencją donosu dr. Zenk. Oskarżonych o pracę mało wydajną strzegł wartownik szczególnie zjadliwy i porywczy. Komando Leona ciężko odrobiło swoje przewinienia o którym dr. Zenk nie chciał zapomnieć. Zresztą i ja ponosiłem część tych konsekwencji, bo zerwanie kontaktu z inż. Ł. nie pozwalało stwierdzić ostatecznie co się stało z zawiniątkiem. Ponadto musiałem pół dnia układać kamienie pod drogę wiodącą ku łaźni.

W południe wracaliśmy na blok, wówczas towarzyszący nam cywil przechodził na „Kanadę”, by doglądać robót komanda Leona. Dzielił swą rolę z ss-manem. SS-man zważał, by ludzie nie próżnowali, cywil zaś udzielał im wskazówek co i jak mają robić. Gdy przez kilka godzin popołudniowych obserwowałem inż. Ł., by wy-

korzystać dogodny moment porozumienia się z nim, spostrzegłem, że cywil krążył ciągle w jego pobliżu, mimo, że inżynier pracował bardzo gorliwie. Kłamał po obozowemu. Co za pech! Strażnik to się zbliżał, to oddalał i gdyby nie cywil tkwiący w pobliżu inżyniera, mógłbym krzyknąć w jego stronę. Ale w chwili gdy strażnik stał najdalej, wówczas cywil stawał o krok za ledwie od inżyniera i jasne, że w tych warunkach nie mogłem nie przedsięwziąć, co by zwróciło uwagę inżyniera. Gdy strażnik się zbliżał, cywil się nieco oddalał, ale w miarę jak strażnik nadchodził szanse porozumienia się niepomniernie malały. Wreszcie komando zeszło i ruszyło w stronę swego obozu.

Pod wieczór wyszedłem z dr. J. na krótki spacer. Poszliśmy w stronę łaźni, aby być dalej od bramy skąd niedawno temu doszedł mnie głos strażnika. Zbliżaliśmy się do boiska. Przechodziliśmy koło 18-ki, bloku przylegającego bezpośrednio do znielowanego przez nas jeszcze wiosną pola i widziałem chorych stojących koło okien. W pokoju blokowego szykowano stolik pod partyjkę brydża rozgrywaną codziennie w towarzystwie dr. Zenk. Przed blokiem stali flegery, oczekujący nadejścia Zenka, by w porę zarządzić ciszę w bloku. Na taborecie, przed wejściem siedział chory owinięty w koc z pod którego ukazywała się potwornie obrzękła tydka z wyraźnymi śladami flegmy.

Chory posypywał ranę jakimś żółtym pyłkiem wytrąszanym z pudełeczka.

Dr J. zapytał:

— Wiesz kto to jest?

— Nie.

— To były sanacyjny wojewoda krakowski, pułkownik G.

Spojrzałem w tamtą stronę. Był to człowiek nie młody już, ale niezłe utrzymany, zaś fakt, że śmiał przebywać poza blokiem w porze gdy miał nadejść dr. Zenk świadczył, jeśli już nie o zażyłość, to w każdym razie o znajomości z naczelnym lekarzem obozu. Tolerancja, tak daleko idąca tolerancja, granicząca z wyraźnym wyróżnieniem, wyjątkowym zgoda, pozwalała mi przypuszczać, że były wojewoda jest nie byle jakim prominentem. Tymczasem w dr. J. obudziła się żyłka lekarska.

— Niech pan zaczeka. Zobaczę czym on posypuje tę swoją ranę.

Zainteresowanie wykazane przez dr. J. nie wymaga uzasadnienia. Od roku siedzieliśmy na bloku, gdzie przeważali chorzy wenerycznie i dr. J. nie miał żadnej zasympki do ich roplejących ran. Poszedłem za nim.

Dr J. powiedział do wojewody:

— Czym pan posypuje ranę? Jestem lekarzem, proszę mi pokazać to pudełeczko. Były wojewoda bez namysłu podał pudełko. Stałem już w pobliżu rozmawiających. Z pod celofanu w który zapakowano pudełko przebiegał czerwony napis na żółtym tle:

STANISŁAW JERZY LEC

ŚMIERĆ MOJA

Jestem nieśmiertelny.

Nie mnie nie zabija,

ni głód, ni mróz, ni wojna.

Nie się mnie nie ima

ni mór, ni ogień, ni woda.

Spadające drzewa dzieła się jak zapaliki

o moją kruchą łupinę.

Samochody trącają mnie

gniotąc blaszane błotniki.

Lwy zęby sobie wylamują.

O wilkach, lisach i pomyślniejszej zwierzynie

milczę ze względu na oszczędność czasu.

Spadające góry dobiegają moich stóp —

już jeno dymek płasku.

Woda mnie liże jak pies oswojony.

Nawet człowiek, nadprodukt stworzenia,

rzuca we mnie niecelnie

swe ołowiane kule.

Jestem nieśmiertelny,

Ale mam swoją pięć

W jednym zakątku mózgu,

gdzie może mnie zabić niemowię

jednym technieniem frazesu.

Frazes mnie bowiem zabija

na Nigdyzmarływchwanie.

Cibazol. Dr J. trzymał pudełeczko w swojej dłoni i wtedy przeczytałem: Sulfanilamid-thiazol, Ciba, A. G. Berlin.

I wtedy pojąłem to co się już zapewne zarysowało w waszym domyśle: człowiek, który mi podrzucił papierosy i nie odstępował w czasie pracy inż. Ł., był tym, który doręczył cibazol choremu pułkownikowi. W moim ręku znalazły się nagle nici, które nas związały. To ten właśnie cywil mógłby mi wszystko powiedzieć o przesyłce. Postanowiłem działać, by raz wreszcie ustalić jak się ta tak bardzo niepokojąca mnie sprawa zakończyła. Musiałem działać szybko, bo chorzy stale opuszczali szpital, nowi zaś nie przybywali, transporty odchodziły i do któregoś z nich i ja musiałbym się wkrótce włączyć. Ryzyko w działaniu było niewielkie, bo nie ulegało wątpliwości, że mimowoli zaobserwowane fakty naprowadziły mnie na poszukiwanego człowieka, który mógł mi wszystko wyjaśnić. Po prostu zapytam go następnego dnia, czy oddał już wiersze Słomczykowi w Wadowicach. Jeśli wam się wydaje, że postąpiłem niesłusznie, to śpieszę wyjaśnić, że wychodząc niebezpieczeństwu naprzeciw pragnąłem przez uzyskanie pewności co do losu wierszy wynagrodzić sobie wszystkie niepokoje, które mnie trapiły od momentu wręczenia wierszy inż. Ł., do chwili ponownego ujrzania go żywego i nietkniętego.

Nazajutrz w czasie pracy zbliżyłem się nieznacznie do nieznanego. Pochyliłem się i udając, że zeskrobuje patykiem glinę czeplającą się łopaty zapytałem półgłosem:

— Panie, czy pan zna inżyniera Ł.?

Miał to być wstęp, przynajmniej, że neutralny, wstęp niewinny do mającej nastąpić rozmowy, która miała mi wszystko wyjaśnić, lecz wówczas nastąpiło to straszliwe uderzenie, które pamiętam, aż do bólu do dnia dzisiejszego. Jego twarda dłoń spadła mi na kark jak siekiera, rozbiegającymi palcami chwycił mnie za kołnierzyk marynarki, drugą zaś dłonią podważał mi szczękę w ten sposób, że tył głowy wciśnięty został między uniesione ramiona. Syknąłem z bólu. Nie chciałem krzyżeć, by otaczający nas ludzie nie widzieli tego co się dzieje, ale wtedy usłyszałem jego krzyk i słowa niemieckie tak donośne, że wszyscy otaczający nas musieli je usłyszeć:

— Żydzie przeklety, to ja mam ciebie karmić papierosami?

Głowę zadartą ku górze starałem się zwrócić w jego stronę, spojrzałem mu w oczy, aby ujrzeć błaganie jakie się na pewno zjawiało w moim spojrzeniu. W jego oczach nie było wściekłości. Ujrzałem pasję, żarliwą pasję człowieka wymierzającego sprawiedliwość. Jeszcze zanim mnie puścił zrozumiałem, że okrzykiem swym ułatwił zarówno sobie, jak i mnie wyjaśnienie wydarzenia, ale wtedy też już wiedziałem, że to on wie wszystko o moich wierszach.

Nazajutrz przyszedł, jak zwykle, do pracy, ale już z dala pogroził mi łopatą wyrwaną z rąk najbliższego więźnia. Wszelkie możliwości porozumienia zostały zerwane, zwłaszcza, że Leon więcej nie przychodził na „Kanadę” i nie mogłem rozmówić się z inż. Ł. Możliwe, że poszł już w transport.

Wkrótce po tym wydarzeniu i ja wyjechałem. Gdy stan chorych na 15-tee wynosił 80 osób, przerzucono mnie na oboz roboczy, skąd po tygodniu pojechałem dalej. To wtedy właśnie, na kilka minut przed odejściem gromady więźniów na rampę, gdzie nas ładowano do wagonów bydłęcych wyciągnęli z szeregu Romana S., jednego z twórców PPR, odprowadzili na bok i rozstrzelali, ale to do tej opowieści nie należy. O Romanie opowiem wam innym razem.

Po powrocie z Niemiec, po tym gdy jako tako uporządkowałem swoje sprawy życiowe znów pomyślałem o odnalezieniu inż. Ł., który — jak sobie przypominacie pochodził z Warszawy. Udałem się na Marszałkowską Nr. 100, tam bowiem mieszkał przed wojną. Cóż, nie wiedziałem czy wrócił, czy nie, ale uzyskanie wiadomości o nim było wstępnym krokiem do wszczęcia rozmów o przesyłce. Jeśli macie ten dom, nieuszkodzony zupełnie, spostrzegacie we wnętrzu bramy kobietę sprzedającą gazety, a głębiej w podwórzu jakieś samochody. W tę bramę wszedłem w czerwcowe popołudnie, bo sprzedawczynie gazet nie mieszka w tym domu i nie mi nie mogła powiedzieć o jego lokatorach. Poradziła mi udać się do dozorcycy. Zapukałem do jego drzwi, ale mi ich nie otworzono, natomiast odemknęło się okienko wykrojone w drzwiach, gdzieś na wysokości piersi dorosłego człowieka. Tylko dzieci, spoglądając ku górze mogłyby ujrzeć twarz człowieka uchylającego okienko. Przede mną spoczęły na desce wyprzędzającej wykrój okienka kobiece ręce, bardzo białe i dobrze zachowane, ręce o lakterowanych paznokciach. Z okienka wionęło upałem i odorem wódki, ale twarzy kobiety nie zdołałem zauważyć. Zapytałem, czy inż. Ł. z mieszkania nr 5 wrócił z obozu, gdzie go widziałem. Czy żyje?

— Inżynier Ł.? kobieta namyślała się chwilę.

Inż. Ł.? powtórzyła i w głosie jej było coś z namysłu i pytania zarazem.

— Zaraz, zaraz, nie pamiętam, a zresztą — stary, ręce cofnęły się, kobieta zaś odwróciwszy się ku izbie krzyknęła w głąb wnetri — stary, podaj książkę meldunkową.

Poszła, zatrzasnąwszy okienko. Czekalem chwilę. W bramę wchodził dwaj podchmieleni mężczyźni, lecz spostrzegłszy mnie przed drzwiami dozorecy zawrócili. Pojłem w lot sytuację. Sądziłem, że czekam swojej kolejki. Okienko znów się otworzyło:

— Inżynier Ł. mieszkał tu przed wojną i jakiś czas za Niemców, ale nie wrócił.

— A żona?

— Żona wyszła po powstaniu i też nie wróciła.

Okienko się zamknęło. Postanowiłem zajrzeć do mieszkania Nr 5. Na drugim piętrze natknąłem się na schodzącą kobietę. Zapytałem ją o inż. Ł. Nie, nie zna go i nie wie czy ktokolwiek powie mi o nim coś bliższego, bo z dawnych mieszkańców domu nikogo nie ma, wyjąwszy dozorcę. On najlepiej wie.

Już nie było czego szukać.

Wówczas pomyślałem o Słomczyk z Wadowic. Jeśli przesyłka go doszła, najprostszą rzeczą to po prostu zwrócić się do niego bezpośrednio i zapytać o to. Namyślałem się, czy nie pojechać do Wadowic, ale nie pozwalał mi na to brak czasu, aż mi przyszedł z pomocą traf, czy przypadek, czy jak tam to się nazywa. Rozmawiałem z Zygmuntem F., pisującym do jednego z naszych tygodników satyrycznych, wiedziałem, że pochodzi gdzieś z podgórskich miejscowości i zapytałem, czy nie zna przypadkiem Wadowic. Nie, nie znał, natomiast Tadeusz K., autor książki, która wywołała tyle spornych zdań mógłby mi pomóc w mojej sprawie, gdyż jego teściowie mieszkają w Wadowicach.

Napisałem do Tadeusza K. i po krótkim czasie otrzymałem odpowiedź. Teściowie mu donosili, że Słomczyk istotnie mieszkał w Wadowicach, ale po zakończeniu działań wojennych wyruszył na Ziemię Odzyskaną. Podali adres.

Napisałem z kolei do Słomczyka. Prosiłem o wiadomość, czy w sierpniu 1944 r. cywilny robotnik wręczył mu paczkę z wierszami. Odpowiedzi nie otrzymałem.

KSIĄŻKA CZESKA W POLSCE

Planowa akcja zbliżenia polskiego czytelnika do literatury czeskiej wkroczyła na realne tory. Przed rokiem, w czasie wizyty pisarzy czeskich w Polsce, nasze największe instytucje wydawnicze zapowiedziały uwzględnienie piśmiennictwa czeskiego w swych planach produkcyjnych. Pierwsze oznaki in-

tensywniejszej pracy w dziedzinie przyswojenia językowi polskiemu dzieł współczesnej literatury czeskiej można już zauważyć. Zamieszczając w numerze bieżącym „Kuźnicy” opinie krytyki o ostatnich przekładach książek czeskich na język polski wyrażamy nadzieję, że wzajemna wymiana wartości kul-

turalnych pozwoli na rychłe sygnalizowanie nowych pozycji książkowych czeskich na naszym rynku księgarskim, wzmagając jeszcze bardziej rosnące już dzisiaj wyraźnie zainteresowanie kulturą czeską w społeczeństwie polskim.

Juliusz Fuczik: „Reportaż spod szubienicy” *)



Juliusz Fuczik

CENKI, 110 stronicowy tom o wymownym tytule: „Reportaż spod szubienicy”, jest — nie waham się stwierdzić — najpiękniejszą książką jaką napisano o okupacji. Może nie najpełniejszą w sensie bogactwa akcji, ilości postaci i zdarzeń, może nie największą rozmiarami koncepcji pisarskiej, czy najdoskonalszą subtelnościami stylu i chwytów artystycznych — ale właśnie najpiękniejszą. Najpiękniejszą przez to, co daje autor czytelnikowi, co wyniósł on sam z ciężkich, potwornych lat wojny, z bicia i katowania w gestapo, z przeszło rocznego, powolnego oczekiwania na śmierć w praskim więzieniu na Pankracu. Przez to, co wynosi on z kontaktów z towarzyszami-więźniami, z wieści o ich zachowaniu się wobec tortur i śmierci, z przyglądania się twarzom w twarz oprawcom niemieckim, z rozmyślań o życiu, pracy i walce własnej, oraz tysięcy towarzyszy konspiracyjnych, robotników, tramwajarzy, służących. Juliusz Fuczik, członek Centralnego Komitetu Czeskiej Partii Komunistycznej, młody literat i publicysta, redaktor „Rudego Práva” i „Tvorby” — został aresztowany 22 kwietnia 1942 roku i osadzony w więzieniu praskim na ostawionym oddziale II—AL, przeznaczonym do walki z Komuną. Tyle pokrótce dowiadujemy się z książki o autorze. I odtąd zaczyna się właściwa jej treść, historia dni spędzonych w celi, w oczekiwaniu „badania”, historia nocy, w czasie których młodziłono systematycznie, centymetr po centymetrze, ciało przesłuchiwanego; historia walki młodego, „końskiego” organizmu z najwzmożniejszymi metodami okaleczania i powolnego mordowania, stosowanymi przez oprawców; historia triumfu woli nad lękiem, myśli nad bólem i przerażeniem. Nie te fakty są zresztą najistotniejszą treścią książki. Treścią jej są rozmyślenia o życiu, jasne uświadamianie sobie jego sensu, celu i znaczenia walki, jaką toczył on biernie, swą postawą i swym zachowaniem, rozumieniem łączności swej ze wszystkimi towarzyszami, walczącymi o lepsze jutro na wszystkich frontach świata. Miłość człowieka, pogłębiająca się z każdą chwilą, wspierana podziwem wobec zachowania się innych w sytuacji podobnej, zachowania mogącego wzbudzać tylko podziw i wiarę. Miłość życia i najsilniejsze odczucie jego piękna właśnie wtedy, gdy dawało ono tysiączne okazy do uczynków dobrych i pięknych, bohaterów i wzniosłych. Miłość ludzi i życia tak silna, że pozwalała bez wahania, bez smutku i bez ofiary ponieść za nią śmierć, że cierpienia towarzyszące tej śmierci stawały się tylko drobną opłatą, jaką mógł dać za całe jej piękno słaby, samotny człowiek w celi pankrackiego więzienia. Poczucie łączności, solidarności i więzi wpływające z tej miłości, usuwające mury i kraty, manifestujące się tysiącami objawów, poczucie pozwalające spokojnie znosić tortury z niechlomną pewnością zwycięstwa, którego niechybnie doczekają inni, ale do którego i on się przyczynił swą samotną walką. Była to ta sama walka. „Sto razy tutaj widziałem swój film, tysiące razy jego szczegóły, teraz spróbuję go raz opowiedzieć” — pisze Fuczik o swym życiu. — „Jeżeli strzyżek zacisnąć się wcześniej, zanim go zdolam dokończyć, pozostaną jeszcze miliony, które dopiszą jego „happy

end”. Oglądanie tego swojego filmu, filmu całego życia w przerwach między katowaniem, to było główną treścią dni. Jakże piękny i krzepiący musiał być ten film, skoro i Fuczik i czytelnicy mogą zaczerpnąć z niego tyle radości i poprzepienia, tyle wiary i doświadczenia, tyle nauki i przestrogi. Ten wspaniały, rehabilitujący człowieka optymizm, jaki pozostawia nam Fuczik, ta czysta i szlachetna miłość ludzkości zrodziła się jak płomień w odpowiedzi na upadające wysiłki faszyzmu. Dopiero tu, na dnie piekła, po tym wszystkim co przeszedł, w cieniu szubienicy, może Fuczik pisać najwspanialsze credo człowieka: „Kochałem życie i za jego piękno szedłem w bój. Kochałem was, ludzie, i byłem szczęśliwy, gdyście mi odpłacali miłością, cierpiałem, gdyście mnie nie rozumieli. Jeżeli kogo skrzywdziłem, niech mi przebaczy! Niech nigdy smutek nie łączy się z moim imieniem, to jest mój testament dla was, ojciec i matka, i siostry moje, dla ciebie, Gustyno moja, dla was towarzysze, dla wszystkich, których kochałem. Jeżeli sądzicie, że płacz zmyje smutny pył tęsknoty, zapłacicie przez chwilę. Ale nie żałujcie. Żyłem dla radości i umieram dla radości i byłoby krzywdą, gdybyście mi na grobie postawili anioła żalu.

Pierwszy maja! O tej godzinie stawiliśmy już na krawcach miast i przygotowaliśmy nasze sztandary. O tej godzinie na ulicach Moskwy szły już pierwsze oddziały na defiladę majową. A teraz o tej godzinie miliony ludzi staczają ostatnią bitwę o wolność człowieka i tysiące padają w tej bitwie. Jestem jednym z nich. A być jednym z nich, być

jednym z bojowników ostatniej bitwy, to przecież piękne”.

Fuczik pisał potajemnie na skrawkach papieru, dostarczanych mu przez dozorcę więziennego, A. Kolinsky’ego i przez tegoż dozorcę wynoszonych. Pisał w warunkach wyjątkowych. Rzecz prosta, nie traktował swego reportażu jako dzieła literackiego — nie wiedział nawet, czy będzie on miał czytelników. A jednak osiągnął godny uwagi rezultat artystyczny. Styl jego jest nie do odтворzenia. Szczególnie silną wymowę ma przeplatanie relacji komentarzem autora, ograniczającym się nieraz do jednego zdania, czy słowa, ale zawierającym całą ocenę, czy stosunek do opisywanych faktów: „Wychodzę z ukrycia. — A, jeszcze jeden! — Pierwsze uderzenie w twarz. Widocznie miało mnie znokautować. — Hände hoch! — Drugie, trzecie. Tak to sobie wyobrażałem”. „Dalsze ciosy rękoma, nogami. Marsz! — Załadowali mnie do auta. Pistolety wciąż skierowane na mnie. W drodze zaczyna się przesłuchanie. — Ktoś ty? — Profesor Horak — Kłamiesz! — Wzruszam ramionami. — Siedź, bo strzele! — Proszę strzelać! — Zamiast strzelać — cios pięścią”. „Pierwsze uderzenie pałką. Drugie, trzecie. Mam jej liczyć? Tej statystyki chłopce już nigdy nikomu nie podasz. — Nazwisko? Mów! Adres? Mów! Z kim się kontaktowałeś? Mów! Mieszkanko? Mów! Mów! Mów! Albo cię zatłuczę!” — Ile mniej więcej uderzeń wytrzyma zdrowy człowiek? — „Widzisz, wszystko wiemy. Mów! Bądź rozsądny! — Szczególny słownik! Być rozsądnym — zdradzić”. „Czarny komisarz podnosi mnie za brodę i śmieje

się z zadowoleniem, pokazując mi pełne garście wyrwanego zarostu. Rzeczywiście jest to komiczne...”

Zarzucono komunistom różne zbrodnie. Pomawiano o fanatyzm, o propagandę nienawiści, o ślepy automatyzm, o strach przed śmiercią, który może obalić tylko wiara w życie pozagrobowe, że właściwie życie i ofiara, poświęcenie i miłość bliźniego nie ma dla nich sensu etc.etc. Znamy te rzeczy. Wiemy co znaczy miłość człowieka w innej interpretacji. Ale nie wiem czy znajdziemy w literaturze drugą książkę tak pozbawioną fanatyzmu, tak optymistyczną i radosną, tak głęboko humanistyczną, tak pełną spokoju i wiary w jutro, tak pełną skromności, pokory i miłości bliźniego — i tak polityczną jak Fuczika. „Reportaż spod szubienicy”, Lapidarna i zwarta, a jednocześnie wstrząsająca w opisie tortur. Zarliwa i porównująca, jako ostatnie słowo przesłane do żywych już prawie „z tamtej strony”. Szlachetna w prostocie „umniejszania siebie, w ukryciu się za wielkość i bohaterstwo innych. Grypsy więzienne, przechowane przez dozorcę — Czecha i wydobyte po wojnie dla pokrzepienia wiary w człowieka. Testament Juliusza Fuczika, komunisty czeskiego, rozstrzelanego w roku 1943 w Berlinie. Dokument pisarza i człowieka. Książka, gdzie każdego zdania można się uczyć napamięć. Nawet na końcu Fuczik nie myśli o sobie i o czekającej go śmierci, ale pragnie, aby jego losy były przestroga, a jego zdobycze pociechą. „Ludzie, kochałem was. Czuwajcie!” Tak brzmi ostatnie słowa książki.

Andrzej Braub

Wacław Rzezac: „Krawędź” *)



Wacław Rzezac

W „MŁODYM pokoleniu chłopów” Chałasiński przytacza dwie wypowiedzi dziewcząt — inteligentki ze średnim wykształceniem i dziewczyny, która spędziła na wsi ciężkie dzieciństwo i młodość. Pierwsza mówi tylko o sobie, o swoich subtelnych przeżyciach, podkreśla to, co ją różni od środowiska, czuje się kimś może nawet nie lepszym, ale różnym od otoczenia. Chciałaby pracować dla dobra wsi, gdyż właśnie to uważa za godny siebie cel życia. Druga mówiąc o sobie, mówi ciągle o całej młodzieży wsi, staje się od pierwszych nieomal słów, pomimo używania zaimka „ja” — postacią reprezentatywną. Opowiada o losie dziewcząt wiejskich, podkreśla zjawiska typowe i bolesne, którym chciałaby przeciwdziałać nie dlatego, żeby realizować „swoją” piękny cel życia, lecz by ułatwić życie tym wśród których rosła i z którymi czuje się związana. To zestawienie dwóch wypowiedzi jest niezwykle wymowne i rzuca ostre światło nie tylko na problemy socjologiczne, ale również pozwala uchwycić pewną ogólną właściwość literatury okresu międzywojennego. Postacie powieści z tego czasu właśnie żyją i działają w tej jakiejś dusznej atmosferze sztucznej izolacji, gdzie własne ja pęcznieje do nieprawdopodobnych rozmiarów i zasłania sobą wszystko inne. Cały świat istniejący poza jednostką może być terenem jej działalności, jest napewno niezbędny, gdyż daje okazję do pełnego wyżycia się, lecz zawsze zostaje na dalszym planie, zarysowany jako tło, które podkreśla bądź to zalety bądź wady jednostki. Jest to jakaś typowa cecha literatury okresu międzywojennego, tej literatury, która na ogół nie zdołała rozwiązać problemu stosunku jednostki do społeczeństwa i właściwie najczęstsze wyjście znajdowała w czymś, co można by określić jako „zorganizowaną filantropię”. Okres ten jednak pozostawił twórcy często pełne tragicznego patosu, który nam dzisiaj może wydawać się mało zrozumiały, ale który nigdzie bliżej był rezultatem gorączkowego poszukiwania i zdradzał bolesną, a uświadomioną bezsilność w rozwiązywaniu najgłębszych konfliktów życia.

Powieść wybitnego czeskiego powieściopisarza Rzezacza, pod znanym tytułem „Krawędź” jest kontynuacją najlepszych wzorów tego kierunku. Wykazuje opanowany talent autora i jego świadomą siebie siłę artystycznego kształtowania. Nawiazuje do przedwojennej problematyki nie tylko przez dociekliwy psychologizm, lecz też dzięki wspaniałej technice pisarskiej, która konstruuje harmonijnie dwa różne wątki powieściowe. Problemem utworu jest zagadnienie wartości życia człowieka i celu tego jednostkowego, niepowtarzalnego wydarzenia, jakim jest dla bohaterów ich własne istnienie.

Czterdziestoletni Aust, pisarz, który jeszcze nie zaczął drukować swych utworów czuje się człowiekiem słabym i niedzielnym, przeżywa przykre stany poniżenia i tak zwanego w psychologii „poczucia małowartościowości”. Chciałby zajmować jaknajmniej miejsca na świecie, nie umie wywierać się należycie z żadnej powierzzonej mu pracy. Przeżywa ciągle w krainie własnej wyobraźni i marzy o tym, aby wreszcie udało mu się stworzyć coś, co niejako utwierdzi go w życiu, co da mu miarę własnej wartości i równocześnie uczyni go jednostką cenną społecznie. Chwyta się każdego przyjaznego słowa jako podpory i zachęty, czerpie siłę z życiowego odczucia się przypadkowych „prostych ludzi”. Zmaruňuje się do reszty, jeśli nie napisze dobrej, a co ważniejsza przyjętej do druku powieści. Umocniony życzliwością najbliższego otoczenia, otoczony troskliwą miłością ukochanej kobiety pisze swą udaną powieść. Krawędź zostaje przekroczona. „Skończyłem książkę o Wilhelmie i znalazł się wydawca, który ją wyda. Jestem innym człowiekiem niż byłem dotąd. Ale to już jest nowy rozdział mego życia”. Tak kończy się powieść Rzezacza. Czy jesteśmy ciekawi tego nowego rozdziału życia Austa? Chyba nie — teraz bowiem napewno przekonany o swej „duchowej wartości” Aust będzie pracował i tworzył „dla społeczeństwa” w imię „szczytnych ideałów ludzkości”. Zdobywszy sławę, zdobędzie się i na wielkopaniński gest. W taki sposób pierwsza krawędź zostaje zdobyta.

Na drugiej krawędzi Rzezac umieszcza bohatera powieści Austa — aktora Habę. Ten wybitnie piękny i uzdolniony młodzieniec szybko zdobywa miłość kobiet, sławę i powodzenie. Jest realizacją marzeń Austa o sobie. Nie zbywa mu na niczym. Ale i on zatrzymuje się w pewnym momencie swego życia i tragicznie przeżywa głęboki konflikt wewnętrzny. Aktor ów, który stworzył tyle przejmujących siłą i prawdą postaci scenicznych, przestał być sobą. Zatracił siebie w kształtach odtwarzanych ról, nie potrafi już żyć, stoi u tego kresu poza którym jest tylko fałsz udawania. Aby wyzwolić się z tego „przekleństwa” sztuki, rzuca wszystko i wraca do „kraju lat dziecińczych” w nadziei, że tam odnajdzie siebie. Istotnie dopiero tam odkrywa prawdę swojego życia — „Już wie, czego chce i dlaczego musi dalej grać w teatrze. Znowu słyszał swój własny głos i bicie własnego serca, rozpoznawał swoją własną twarz wśród wszystkich tych obcych rysów, które ją pokryły. Znowu poczuł tęsknotę do sztuki, ponieważ poznał jej przyczynę i cel i wiedział, że już nigdy się nie zatraci w postaciach swoich ról jak w labiryncie bez wyjścia, że są one tylko jakby jego uwielokrotnieniem i że naśladuje to wszystko, co przeżywał ludzkie dusze”. W opinii Rzezacza Haba również wychodzi z konfliktu zwycięsko; odnajduje podobnie jak Aust sens i wartość swego życia. Zwycięstwo to wydaje się bardzo problematyczne. Tragizm po-

staci tego rodzaju nie zawiera się w pesymistycznym zakończeniu. Tkwi w niemocy wyjścia poza zaczerpnięty krag własnej indywidualności, dla której wszystko i sztuka i twórczość i cały świat jest jedynie bądź potwierdzeniem własnej wartości, bądź świadectwem jej żalosnej bezsily.

Talent pisarski Rzezacza, jego realizm i bogactwo obserwacji sprawia że chcielibyśmy, aby zachowywał mniej surowego obiektywizmu. Tak mało brakuje — paru ostrzejszych zarysowanych linii, paru kompromitujących zestawień, a powieść stałaby się świetną satyrą społeczną. Satyra, która demaskuje żalostny egocentryzm ludzi pozbawiających żywej więzi ze społeczeństwem. Satyra, która odsłania nieprzezwyciężony dotychczas konflikt między „własnym celem życia” i „własną wartością wewnętrzną”, a życiem wśród ludzi i z ludźmi. Rzezac nie czyni jednak tego nie wielkiego kroku. Zatrzymuje się w skupieniu i szacunku przed „człowiekiem” i ze spokojem bezstronnego obserwatora pokazuje jego konflikty wewnętrzne.

Obserwuje człowieka i artystę. Interesuje go proces twórczy. I to jest najciekawsza strona jego utworu. Aust komponuje powieść. Ogarnia go szybki natłok myśli i obrazów. W chwilach natchnienia zatracca poczucie rzeczywistości, rządzić nim siły prawie irracjonalne. Wkomponowuje w tworzoną powieść fragmenty zdarzeń przeżytych i miejsc znanych nie zdając sobie z tego sprawy. Dopiero potem ze zdziwieniem stwierdza, że miał tak wielkie poczucie rzeczywistości i, że z niej nieświadomie czerpał. Jest

* Juliusz Fuczik „Reportaż spod szubienicy”. Spółdzielnia wydawnicza „Książka” 1947 r.

*) Wacław Rzezac „Krawędź” Spółdz. Wyd. „Czytelnik” 1948.

to wybitnie romantyczna koncepcja twórczości, prawdopodobnie uzasadniona wewnętrznym doświadczeniem Rzeźacza. Pisarz identyfikuje się ze swymi postaciami, żyje ich życiem, reaguje ich odruchami. Nie potrafi jednak przewidzieć, co zrobią jego bohaterowie, gdyż wydarzenia narastają kolejno, a charaktery postaci kształtują się i zmieniają.

Pokazując pisarza przy warsztacie pracy Rzeźacz wychodzi poza egotyzm i indywidualizm. Odsłania procesy i przeżycia typowe, które stanowią doniosły element życia zbiorowego. W ten i tylko w ten sposób przezwycięża silne wpływy literatury i problematyki okresu międzywojennego. Tej problematyki, która znajdowała własny, artystycznie trudny wyraz, która wymagała komplikacji, igrania z czasem i przestrzenią i ceła „dobrą a widoczną” robotę. Rzeźacz podejmuje bardzo trudną kompozycję. Tworzy równocześnie dwa opowiadania. Jedno dotyczy dzieł pisarza Austa, jego ciężkiego życia, twórczości i nieśmiętego, nagrodzonego powodzeniem uczucia dla Jarmili. Drugie zawiera losy Wilhelma Haby, wielkiego aktora, zdobywczego mężczyzny i tragicznego człowieka, który utracił i odnalazł siebie. Wątek podstawowy — sprawa Austa rozwija się na zasadzie powieści realistycznej, zgodnie z normalnym przebiegiem czasu. Wydarzenia narastają i następują po sobie w zwykłej kolejności upływających dni i miesięcy. Dzieje Haby są podległe zasadzie psychologicznej. Wyrastają z twórczej fantazji pisarza. Postać Haby pojawia się niespodziewanie w każdym momencie, w którym Aust zaczyna o nim myśleć. Czasem Haba odchodzi naskutek wydarzeń zewnętrznych, ingerujących w

życie Austa, kiedy indziej pisarz znudzony przestaje się nim zajmować z własnej a nieprzymuszonej woli. Fragmenty z życia Wilhelma Haby pojawiają się w dowolnej kolejności. Austa początkowo interesuje w postaci własnie ów kulminacyjny konflikt — załamanie wewnętrzne wielkiego aktora. Potem sięga w jego przeszłość, chce zrozumieć i wyjaśnić przyczyny katastrofy. Motywy te rozrastają się, wciągają nowe postacie. Potem znów już wyjaśniliśmy losy postaci jej poprzednimi dziejami Aust zbliża się ostrożnie do momentu najniebezpieczniejszego i wreszcie znajduje rozwiązanie, które równocześnie zbiega się ze szczęśliwym zamknięciem pewnego etapu jego życia. To psychologiczne uwarunkowanie układu wydarzeń przemawia w tym wypadku bardzo silnie. Jest głęboko realistyczne i odbiega daleko od szablonowego w okresie przedwojennym, świadomego „utrudniania konstrukcji”. Jest umotywowane chęcią pokazania procesu twórczego, jest wyraźnie udane w swej celowości i prostocie mimo całej zawilgości pomysłu. Rzeźacz jest pisarzem o dużej kulturze artystycznej. Świadomie i z pełną odpowiedzialnością posługuje się trudną techniką pisarską i umie podporządkować ją celom realistycznym. Te wartości „Krawędzi”, które niewątpliwie skłoniły do jej przekładu są szczytowym osiągnięciem kierunku odchodzącego w przeszłość. Charakteryzują ten rodzaj powieści dla którego już mamy szacunek należny czasem minionym, a równocześnie pozwalają dostrzec w twórczości Rzeźacza nurt prawdziwego realizmu i prawdziwej wiedzy o człowieku.

Ewa Korzeniowska

Jan Drda: „Miasteczko na dłoni”



J. Drda

„Miasteczko na dłoni” jest mitem współczesnym o życiu chłopiskim małego miasteczka czeskiego na stokach bogatych wzgórz. Historię namiętnej, zwyciężającej przeszłości społeczne miłości gospodarskiego syna Wacława do pięknej drwalówny Hanki urywa symbolicznie groźne memento wojny 1914 roku.

Piękna ta stylizowana sielanka, owoc świadomej sztuki, jest wymownym dokumentem. W sposób charakterystyczny dla czeskiej literatury łączy chytne oblicze chłopskiej trzeźwości, jednego humoru o ostrym akcentie społecznym (przypominającym średniowieczną satyrę), — z mistyczną ambiwalencją (jak u Czapka!) — i zarazem poczuciem wartości dóbr doczesnych, z szacunkiem dla rządnych posiadaczy. „Nieludzki”, jak go nazywają inni bohaterowie książki, stary Trantyniec, najzamożniejszy chłop we wsi, pragnący uniemożliwić małżeństwo syna z biedną dziewczyną (co czyni zresztą w sposób daleki od okrucieństwa chłopów Reymonta czy naszych powieści naturalistycznych), zwyciężony w tej walce — zostaje przecież wybrany na głowę miasteczka po śmierci dobrego burmistrza Buzka. Naturalny szacunek otacza w powieści postać tego roztropnego gospodarza, typowego „kułaka”, którego zresztą poza tym przedstawia autor sielanki jako niezłego człowieka. Praktyczne i idealne wartościowanie rzeczy idą w tej pogodnej książce ręką w rękę. Triumfuje ideał ponadklasowej wolności, godności człowieczej, wcielonej w awanturniczą postać „wolnego kłusownika” Macieja Rzeźacza, ideał miłości, zwyciężającej przeszkody majątku i stanu — ale z szacunkiem i wyrozumiałością humorem potraktowana jest klasa posiadająca, zasobnych, gospodarnych, rozumnie użytkujących posiadaczy.

Powieść Drdy jest stylizacją na tle realnie widzianej rzeczywistości społecznej półwiekskiego środowiska miasteczka czeskiego sprzed 1914 roku. Cofając się w mityczność dla nas dziś czasy cesarza Franciszka Józefa, autor zyskał możliwość baśniowego potraktowania tematu. Stylizacja idzie po linii marcholowego humoru. Uśmiech więcej naiwny niż chytro towarzyszy sprytowi i kpinie o podkładzie niewinnie społecznym. Barwna obyczajowość środowiska górników, rzemieślników i chłopów z jej często grubą prymitywnością (czasem większa niż u nas) — posłużyła ja-

*) Jan Drda. Miasteczko na dłoni. Powieść. Z czeskiego przełożył Zdzisław Hierowski. Katowice, „Awir”, 1947; str. 187 i 1 n.

Adolf Hoffmeister: „Turysta mimo woli”

INNA odmiana humoru reprezentuje kronikę „podróży” po Europie czeskiego emigranta z lat 1939 — 41. Zmuszony opuścić kraj po objęciu przez Niemców „protektoratu” nad Czechami antyfaszystowski literat czeski Jan Prokop rozpoczyna wędrówkę emigrancką po krajach Europy. Swój podróż w poszukiwaniu wolności zaczyna od Francji, odwiecznego przedmiotu miłości wszystkich artystów i pisarzy. I tu spotykają go kolejne rozczarowania. Na jego miłość odpowiadają brutalność i cynizm. Francja z ostatecznych chwil przed wybuchem wojny jest Francją przekupioną i upadłą. Dla szukających wolności i ludzkości ma wzięcie i obozy koncentracyjne, do których zamyka „niebezpiecznych cudzoziemców”. Z obozu zwalnia Jana Prokopa dopiero klasa umiłowanej Francji. Teraz zaczyna się niewesoła wędrówka przez inne obozy i miejsca postoju — w poszukiwaniu kraju, do którego jeszcze nie dotarła swastyka. Za uciekającymi idzie krok w krok śmiercionośny widmo hitlerizmu. Ich ucieczka, która dla Jana Prokopa kończy się — szczęśliwie — osiągnięciem ładu amerykańskiego — jest wyścigiem o życie. Ale o tym nie mówi autor, którego książka napisana lekko i z wielką wprawą pisarską przedstawia od strony humorystycznej realia tego przymusowego wojażu.

W ten sposób Jan Prokop w czasie ostatniej wojny znalazł się poza kręgiem jej czynnych uczestników. „Co się właściwie z tobą stało, Janie Prokopie?” — zwraca się do siebie z pytaniem współczesny Odyseusz. — Straciłeś wszystko. Ano właśnie. Tysiące, setki ludzi umierają, a ty żyjesz... Pisałeś książki, piętnaście książek; przecież to okropne, Janie Prokopie! O czym ty właściwie pisałeś? Czy wtedy w ogóle miał jakieś doświadczenie? Czyś wiedział coś o życiu? O nędzy i głodzie? To musiały być wyjątkowo marne książki. Teraz możesz pisać. Teraz, gdy nie ma cię kto czytać. Teraz, gdy nikt nie rozumie twej mowy... Cóż właściwie się zmieniło, Janie Prokopie? Świat, czy tylko twój świat?... Więc jak to z tym jest? Kto ci ma przywrócić twój świat?... Gdy falangi uchodźców zjeżdżały do Pragi pomagałeś im. To prawda, ale czyś pomagał dostatecznie? Teraz widzisz sam, jaki był ich los. Pomagałeś za mało. Nie narzekaj, boś sam nie uczynił zadość obowiązkom człowieka wolnego w stosunku do Janów Prokopów. Dziś lepiej rozumiesz słowo ojczyzna. Ale czy cierpisz za ojczyznę? Czy oddałeś za nią swą krew? Bądźmy skromni, Janie Prokopie, skromni i pokorni, bo nam nie było dane być bohaterami w walce.”

Bohater tej niewielkiej książeczki jest typem. To właśnie typ przeciętnego Europejczyka, człowiek myślący i uczuciowy, nie bohater i nie niedzinek, to spokojny mieszkanin europejski, inteligent i liberał — którego prawa ludzkie zakwestionowano. Jest on tylko emigrantem — wprawdzie i on jest więziony, kopany, bity, pozbawiony normalnych praw obywatelskich, sytuacji społecznej — a każdej chwili może być także pozbawiony prawa do życia — ale jest tylko uchodźcą i autor z wielkim taktem zaznacza cały dystans, jaki go dzieli od walczących. — Jego postać,

* Adolf Hoffmeister. Turysta mimo woli. W roku 1941 w Ameryce napisał i zilustrował... Tłumaczenia dokonał Zdzisław Hierowski. „Awir”, 1946, str. 157 i 3 n.

OBYWATEL

(Dokoniczenie ze str. 7-ej)

— Jakto, czy oni się znają?
— Tak, byli razem w obozie. Ewakuowano ich razem z Oświęcimia i uwolniono ich razem. Byłego wojewodę przyjaciele od Andersa wydestali do Francji wraz z moim synem.
— Nagle przypomniałem sobie po co Słomczyk właściwie mnie odwiedził.
— A może syn pana wie coś o moich wierszach?
— Zwlekał chwilę, poczem rzekł:
— Raczej nie. Sprawę mógłby jedynie wyjaśnić robotnik cywilny, który...
— Przerwałem mu.
— Rzeczywiście, że też zapominałem o niego zapytać. Przecież pan go musiał znać, skoro miał panu doręczyć moją przesyłkę.
— Widzi pan, on niechętnie wyjaśniłby panu tę sprawę, ale ten człowiek nie żyje.
— Wpadł?
— Nie. Codziennie wchodził i wychodził z obozu, aż do chwili wkroczenia Armii Czerwonej do Oświęcimia. Przenosił pocztę do mnie, to ja właśnie ją odbierałem i załatwiałem. Stąd przyjaźń wojewody z moim synem. Przez tego robotnika przesyłałem byłemu wojewodzie pocztę i lekarstwa.
— No, ale co się z tym robotnikiem stało?
— Rozłożył ręce jakoś bezradnie i przeproszał zarazem.
— Chłopcy z lasu go zabili.
— Już po wojnie?
— Tak. Po ucieczce Niemców ten robotnik wstąpił do PPR i od razu zabrał się do roboty partyjnej. Tę było na początku bardzo niebezpieczne.
— Cofnąłem ręce i nie śmiałem podnieść oczu. Znałem tę sprawę.
— Słomczyk mówił dalej:
— Tak było. Swoją drogą, niech pan pomyśli — pochylili się ku mnie i uśmiechnęli blado — człowiek, który przez cztery lata,

daleka od bohaterstwa, a przeciw reprezentującą człowieczeństwo — jest bardzo zrozumiała, przekonywująca, i doskonale służy autorowi do zademonstrowania światu prawdy o klasie ludzkości w latach potopu hitlerowskiego. Hoffmeister czyni to w sposób wcale nie patetyczny, ale ironiczny i zupełnie dobitny, malując humorystyczny obraz niefortunnego odysei „człowieka dobrej woli” i człowieka honoru, przywiązane do ojczyzny i tradycyjnych ideałów wolności, godności i demokracji, który został wydziedziczony z prawa do ojczyzny, do bezpieczeństwa i kultury. Czytelnik cały czas doskonale zdaje sobie sprawę, że te niewesołe acz komiczne perypetie emigranta dzieli nie dopuszczająca porównań przepaść od tego, co jest przemilczanym acz dyskretnie obecnym temem przeżyć Jana Prokopa — od życia na froncie wewnętrznym „nowej Europy”.

Dlatego też nie razi nigdzie nietakt w potraktowaniu tematu wojennego w sposób „lekki”, autor potrafił zachować proporcje spraw. Jego inteligentny humor, łączący realistyczną obserwację z intelektualistycznym dowcipem, (który wypowiada się również w rysunkach autora), nie jest bezcelową zabawą. Zachowując proporcje zagadnień, ukazuje pisarz nonsens, niedolę i smutek tego względnie beztroskiego życia emigrantów, na jakie skazani zostali ludzie dobrej woli w okresie, gdy faszyzm pretendował do zapanowania nad historią Europy. Książka osiąga zamierzony cel: budzi głęboką refleksję nad człowiekiem i nad sposobami urządzania życia, jakie bywają praktykowane w historii ludzkości.

Jej humor daleki jest od karykatury, wulgarności czy przerafinowanego cynizmu. Jest to humor filozoficzny, trzymający się ziemi, o jasnej, prostej i oszczędnej formie. Humor ten nigdy nie nuży czytelnika. Cechuje go pogoda i na pół nalwne, na pół filozoficzne pytanie o humanistyczny sens życia wobec fatalności losów, w których władzę popada człowiek, czasem bezsilny, ale nie zrezygnowany, nie kwitujący ze swego człowieczeństwa.

Wydane ostatnio przekłady z literatury czeskiej stanowią pozycje cenne i potrzebne. Należy wyrazić uznanie dla pracy tłumacza, który pozwala nam się zaznajomić z wartościową i interesującą współczesną twórczością czeską.

Janina Preger

KAREL ČAPEK

„ZŁODZIEJ KAKTUSÓW”

Cykl nowel w przekładzie
A. M. Swinarskiego
ukazał się w numerze 21

„CO TYDZIEŃ POWIEŚĆ”

Do nabycia we wszystkich kioskach
Cena zeszytu zł. 25

dzień w dzień wchodził do obozu i oddawał nieocenione usługi...

Taki wojewoda chociażby. On przecież przetrzymał tylko dlatego, że ten robotnik przynosił mu leki. Wierzę, że pańskie wiersze gdzieś ukrył, ale co robić...

Przerwał na chwilę.

— Widocznie przywiązywał do nich szczególną wagę i zachował je dla pana u siebie. Gdyby pan był podał adres rodzinny byłby je przesłał, ale skoro ja miałem się nimi zaopiekować, to równie dobrze mogły przecież u niego zostać. Byłem w stosunku do pana równie obcy jak on.

Widziałem wszystko. Gdy mówię wszystko mam na myśli tamtą rozbłą oświęcimską bramę, szeroko rozwartą na wojną przestrzeń i człowieka, który pada potem, gdy obóz spłonął.

Jak długo można milczeć w obecności obcego człowieka, który was odwiedza w waszym mieszkaniu? Musiałem mówić, wy oświęcimiaczy powiedzieliście zagadywać, wreszcie zapytałem:

— A czy były wojewoda krakowski, pułkownik G. wie o zamordowaniu tego robotnika?

— Przypuszczam, że nie. Cóż to jego obchodzi? To przecież on w dalekim Grenoble patronował mordercom swego dobroczyńcy.

Znów zapanowało milczenie, które musiałem z obowiązku przerwać. Powiedziałem tylko:

— Tak, obywatelu.

Słomczyk wstał.

— Wie pan, gdy słyszę słowo obywatel, nie towarzyszy — rozłożył ręce — ja do żadnej partii nie należę, gdy słyszę słowo obywatel myślę, że tylko tamten zamordowany zasłużył jedynie na to miano.

Stanisław Wygodzki

MALARSTWO

Marka Żuławskiego i Haliny Korn

SEWERYN POLLAK

O nowej literaturze bułgarskiej

KIEDYSMY blisko dwa lata temu podziwiali na wystawie w Muzeum Narodowym w Warszawie obrazy Marka Żuławskiego, uderzała nas przy całej doskonałości formalnej artysty skłonność do estetyzmu. Pamiętam wspaniałe gamy różowe, nierzadko się we wszystkich odcieniach żółtego śmiało i odważnie poszukiwanie najbardziej gorących i harmonijnych zestawień barwnych. Było w tym malarstwie wiele rezygnacji z prawdziwego niepokoju na rzecz ładności — i bądźmy szczerzy tradycyjni poszukiwani post — impresjonistów.

Miałem możność spędzenia ostatnio w Londynie paru godzin w pracowni Żuławskiego. Obrazy jego są teraz zupełnie inne. Przeważają tony zimne, plamy obwiedzione są należnym czarnym konturem, rysunek staje się brutalny i ostry. Jak gdyby po pochwałach oddanych ładności i harmonii, artysta zaczął zmagać się z brzydotą. Kompozycja martwych natur zaczyna być poddawana jakimś innym, nie tylko malarzskimi zasadami. O wyborze przedmiotów decyduje już nie tylko kontrast kształtu i koloru, ale zewnętrzny porządek materialnego świata.

Martwe natury Żuławskiego mówią o człowieku, który gromadził albo porzucił przedmioty. W kompozycjach dochodzi do głosu literatura. Mamy tu jakieś początki narracji, zarysowany dramat ludzki.

W nowej brutalności obrazów Żuławskiego, w deformacji, która wydobycie chce stosunek człowieka do przedmiotu, która nierzadko zupełnie świadomie dramatyzuje, widzę wpływ nowego malarstwa francuskiego Pignona i Fougereona. Jest w tych obrazach jakaś nowa nienawiść do świata i nie fałszowana namienność. Brutalizuje się rysunek, gwałtowne stają się kontrasty barwne, ludzka treść obrazu podana jest bezpośrednio, najjaśniej jak można.

Halinę Korn znaliśmy niegdyś jako śpiewaczkę w Warszawie. Zaczęła malować dopiero w Londynie, przed dwoma laty. W obrazach już uderza połączenie prymitywizmu z najbardziej wyrafinowanym smakiem intelektualisty.

Są to przeważnie obyczajowe scenki londyńskie, parki w Hyde Parku, starsi panowie idący na zakupy, żonglerzy uliczni, pijący w pubie.

Przypomina nam się tematyka wielu wierszy Apollinaire'a, poszukiwanie dziwności na peryferiach wielkiego miasta.

Halina Korn maluje jak gdyby znała tylko współczesne wiersze: tylko malarstwo renesansowe.

Bardzo to połączenie jest zabawne. I obrazy jej są radosne, śmieszne, zaskakujące, niespodziewane. Ponieważ uwielbiam anegdoty o malarstwie, bardzo mi się podobały obrazy Haliny Korn. Nie tylko mnie zresztą, po pierwszej wystawie w The Mayor Gallery zdobyła sobie Halina Korn uznanie najsławniejszych londyńskich krytyków.

jk



Marek Żuławski (1947)
szczotki i ścierki



Marek Żuławski (1947)
martwa natura ze szkłem

KILKA tygodni temu przebywała w Polsce wycieczka pisarzy bułgarskich. W skład delegacji bułgarskiej wchodził: Jelizawita Bagriana, znakomita poetka bułgarska; Nikołaj Furnadżiew, naczelny redaktor tygodnika „Front literacki”, organu Związku Pisarzy Bułgarskich; Kamen Zidarow, sekretarz Związku Pisarzy i bułgarskiego PEN-Clubu; Piotr Dinekow, sławista, profesor Uniwersytetu w Sofii, oraz młody poeta Bożydar Bożyłow, kierownik literacki radia sofijskiego.

W okresie coraz większego zainteresowania literaturą narodów słowiańskich przyjazd delegacji bułgarskiej, z którą pisarze polscy zdołali nawiązać wyjątkowo bezpośredni kontakt i znaleźć wspólny język przyjaciół, nawiązał jeszcze jedno ogniwo łączące kultury obu narodów.

Poniżej podajemy krótki szkic o nowej literaturze bułgarskiej, opracowany na podstawie referatu prof. Dinekowa.

Ostatnia wojna wywołała głębokie polityczne, społeczne i kulturalne przemiany w Bułgarii. Demokratyzacja kraju, wysuwając na czoło klasę robotniczą, chłopów i postępową inteligencję ludową, musiała wyrzucić decydujący wpływ również i w dziedzinie literatury. Na czoło wysunęli się postępowi, demokratyczni i rewolucyjni pisarze, którzy w ciągu ostatnich lat dwudziestu ulegali stałym prześladowaniom — ucisk cenzury, brak elementarnych warunków dla pracy twórczej, a wobec czynnych uczestników walki politycznej z rodzimym i niemieckim faszyzmem — obozy koncentracyjne, więzienia i rozstrzelania. W ten sposób w 1925 r. zginęło kilku poetów bułgarskich: Christo Jasienow, Geo Milew i Sergiusz Rumiancew, w 1942 roku został rozstrzelany wybitny poeta Nikołaj Jonkow-Wapcarow, a większość współczesnych pisarzy postępowych, ze znanym krytykiem i teoretykiem literatury Teodorem Pawłowem na czele, przeszła przez więzienia, sądy i obozy. Wielu z tych pisarzy brało czynny udział w nielegalnym ruchu demokratycznym, a w czasie ostatniej wojny walczyło w oddziałach partyzanckich.

Wojna w znacznym stopniu wpłynęła na zmianę tematyki w literaturze bułgarskiej. Na szczególną uwagę zasługuje literatura poświęcona ruchowi oporu. Posiada ona tradycję, datującą się od pierwszych lat trzeciego dziesięciolecia i związana jest, zwłaszcza do powstania 1923 roku, z walką z ustrojem dyktatorskim. Poetą ruchu oporu w najszerszym znaczeniu tego słowa jest Christo Smirnenki (1893—1923). Powstanie 1923 roku znalazło swego piewca w osobie wspomnianego już Geo Milewa. W poemacie pt. „Wrzesień” Milew, który był przedtem teoretykiem indywidualizmu i ekspresjonizmu w poezji bułgarskiej, przedstawia powstanie wrześniowe jako bunt żywiołowy — poemat jego jest jednym z najjaśniejszych dokumentów tej dramatycznej epoki. Śmiałość i szczerść protestu, patos walki, energiczny i dynamiczny wiersz zapewniają mu trwałe znaczenie w poezji bułgarskiej. Spośród innych poetów, którzy opiewali powstanie wrześniowe, silnym poetyckim temperamentem, rewolucyjną treścią, a jednocześnie głębokością ujęcia i klasycznym wierszem odznacza się Nikołaj Furnadżiew (ur. 1902), autor kilku zbiorów: m.in. „Tęcza”, „Wiatr wiosenny”, „Wiersze”.

Powstanie 1923 roku znalazło swe odbicie również i w prozie beletrystycznej, jak np. w

powieści „Choro” Antoniego Strazimirowa, „Wieś Borowo” Kruma Welkowa, „Wrzesniowcy” Emila Korołowa i in.

Drugi okres walki wyzwolenczej ludu bułgarskiego od 1923 r. do wybuchu wojny 1939 r. został wszechstronnie odzwierciedlony w literaturze bułgarskiej. Poeci w ciężkich warunkach tyranii królewskiej z konieczności musieli uciekać się do mowy peryfrazystycznej, do alegorii. Pomimo to twórczość ich była w założeniu swym realistyczna, mocno związana z bezpośrednią społeczno-rewolucyjną rzeczywistością. Śród poetów tego okresu wyróżniają się: Ludmiła Stojapola, Christo Radewski, oraz Kamen Zidarow (ur. 1902), który od blisko dwudziestu lat drukuje swoje utwory w prasie, postępowej i który jest autorem zbiorów poezji: „Cisza”, „Antena”, „Pieśni wrzesniowe” i in. Zidarow, jeden z czołowych ryków bułgarskich jest również dramaturgiem i tłumaczem poezji rosyjskiej.

Trzeci okres kulturalnego ruchu oporu w Bułgarii to lata 1939—1944, lata podziemnej walki z okupacją niemiecką i ze sprzymierzonym z Niemcami faszystowskim rządem Bułgarii. Pisarze biorą czynny udział w tej walce, wielu z nich idzie do oddziałów partyzanckich, jak wspomniany powyżej Nikołaj Jonkow-Wapcarow, który został rozstrzelany z wyroku sądu wojennego. Wapcarow jest nie tylko poetą walki, jest on pierwszym bułgarskim poetą klasy robotniczej. Szczególnie wzruszającym motywem jego poezji jest wyrzeczenie się życia, świadomość, że w wyniku walki poniesie śmierć z rąk wrogów tej klasy, dla dobra której się poświęcił. Poezja Wapcarowa jest szczerą i prostą, wiersze jego, pełne treści ideowej i emocjonalnej, odznaczają się licznymi walorami formalnymi.

JELIZAWITA BAGRIANA

PENELOPA XX WIEKU

Nie jestem starogrecką Penelopą,
która pokornie szatę tką i pruje
i lat dwadzieścia czeka na Odyssa,
zagubionego pośród mórz i lądów,
przez nimfy wysp nieznaną więzionego —
aby powrócił do mnie, i to wtedy,
gdy wierny pies zaledwie by go poznał.

Nie chcę się tlić i drzeć niby kaganek
w celi klasztornej,
i topnieć niby zapomniana świeczka
w bezpłodnym swym płomieniu,
i ronić łez nad rozłożoną mapą,
niby nad szatą mniszą,
myślami gonić po obszarach mórz
i po zatokach dziwnych,
i bać się wszystkich Ew na ziemi —
białej i zimnej mieszkanki północy,
ciemnej, płomiennej mieszkanki południa...

Mnie nie wystarczą wynalazki
anten i kabli niezliczonych,
które oplótły wodę, ziemię i powietrze,
depesze lakoniczne wystukujące
miłości twojej rozrąbanej!

Chcę ją odczuwać tutaj, drżącą,
najpierwotniejszym wynalazkiem —
płeciu zmysłami, które Bóg nam dał,
tak jak ostatni człowiek na tej ziemi,
jak najędźniercze stworzenie na świecie,
tak jak ostatnia i pierwsza kobieta.

Przetłóżył SEWERYN POLLAK

Wapcarow wywarł ogromny wpływ na nową poezję bułgarską i zdobył sobie wielką popularność w masach robotniczych.

Zycie w obozach koncentracyjnych znalazło swe odbicie w wierszach Mładena Isajewa.

Ruch oporu, w którym wzięło czynny udział wielu młodych poetów, w silnym stopniu wzbogacił tematycznie poezję bułgarską. Jest to poezja walki, poezja szczerą i bezpośrednią. Najwybitniejszym jej reprezentantem jest Weselin Georgiew, który w roku ubiegłym wydał zbiór wierszy pt. „Pieśni partyzanckie”. Życiu w partyzancie poświęcony jest również poemat Dory Gabe pt. „Wela”. Bohaterką poematu jest młoda partyzantka, Wela Pejewa, która zginęła w walce o wolność.

Poemat Dory Gabe tematycznie w pewnym sensie przypomina „Zoję” Margeryty Aliger, tak jak „Wasilia Torkina” Twardowskiego przypomina utwór poety bułgarskiego Lamarra pt. „Goran Gorinow”, poemat o żołnierzu, który nie chce walczyć za cudze sprawy, lecz jedynie w obronie swego narodu.

Nowy okres w literaturze bułgarskiej rozpoczyna się z chwilą wyzwolenia 9 września 1944 roku. Jest to okres utwierdzenia demokracji, okres odbudowy kraju. Fakty historyczne, które wpłynęły w sposób decydujący na przemianę całego życia narodu, musiały znaleźć odbicie w literaturze. Młodzież poetycka, tak jak przedtem brała bezpośredni udział w walkach o wyzwolenie, obecnie bierze czynny udział w odbudowie i przebudowie gospodarczo - społecznej kraju. W związku z tym styl prozy zmienił się na bardziej reportażowy, dynamiczne tempo współczesności odbiło się również na stylu najmłodszej poezji bułgarskiej. Jeśli chodzi o pisarzy młodego pokolenia, to wymienić tu należy Bożydara Bożyłowa (ur. 1923), poetę związanego ściśle z klasą robotniczą.

Nie należy sądzić, że nowa tematyka oparła literaturę bułgarską całkowicie. Rzecz polega nie na przyjęciu przez pisarzy nowych form życia Bułgarii i nowych zadań, jakie stawia ona literaturze, ale na głębszej psychicznej i twórczej przemianie samych pisarzy. W związku z nową tematyką i nowymi zadaniami stanęło w literaturze bułgarskiej zagadnienie realizmu. Lecz pomiędzy zagadnieniami realizmu w przeszłości i w chwili obecnej istnieje zasadnicza różnica: nowy realizm zakłada przedstawienie rzeczy typowej w typowych okolicznościach, a nie obiektywistyczne, zimne odzwierciedlanie rzeczywistości; jest to jej aktywne potwierdzenie, które sprzyja postępowym przemianom, jakie zostały dokonane. Jednym z podstawowych zadań współczesnej krytyki, reprezentowanej przez Teodora Pawłowa, jest właśnie sformułowanie założeń tego nowego realizmu. Jednocześnie uległ rewizji stosunek do dawnej literatury bułgarskiej, zwłaszcza wobec nie-dawno jeszcze panującego idealizmu i symbolizmu.

To wszystko, co zostało powiedziane tu o literaturze bułgarskiej, oczywiście nie wyczerpuje jej charakterystyki. Zatrzymaliśmy się tylko na cechach najbardziej istotnych, związanych z jej nowym obliczem, nie wymieniamy nawet wybitnych pisarzy starszego pokolenia, jak Christo Botiew, Iwan Wazow, Penczo Slawekow, Aleko Konstantinow, Christo Smirnenki i inni, którzy tak jak dziś młodzież literacka, zawsze byli wyraziście najlepszych, postępowych idei, nurtujących naród bułgarski.



Marek Żuławski (1947)
Chrystus z Belzen



Marek Żuławski (1947)
kobiety z Dieppe



Marek Żuławski (1947)
przy stole

Polonica paryskie

ZEBRAŁO się tego trochę. Week-end polsko-francuski w Royaumont, dwa koncerty w Ambasadzie, powitanie wracającego z Polski Eluarda, pożegnanie Jouve'ta, wystawa malarzy polskich w Paryżu, „tydzień polski” w Instytucie Nauk Kinematograficznych.

O Royaumont pisał już Artur Sandauer w „Przekroju”. To stare opactwo, mieszanina autentycznego gotyku i rekonstrukcji dziewnastowiecznych, służy dziś za miejsce pracy i odpoczynku dla pisarzy, muzyków, malarzy, uczonych, obcych i francuskich, którzy znajdują tu, w niewielkiej odległości od Paryża piękny pejzaż Ile de France, trochę historii i legend związanych z tym miejscem, cudem zachowany fragment wieży z okresu wczesnego gotyku, niezłą bibliotekę, wygodne pokoje, ciekawe rozmowy i mało znaną, renesansową muzykę francuską, włoską, czy elżbietańską wieczorami, w dużym salonie. Gospodarz, lub nowocześnie mówiąc dyrektor tego „Centre Culturel International”, p. Gilbert Gadoffre, zaprojektował cykl wieczorów, których celem jest zbliżenie międzynarodowe intelektualistów, pracowników kultury etc. W tej liczbie znalazł się i week-end francusko-polski.

Pisarze i muzycy polscy, którzy przyjechali do Royaumont, mieli okazję do zapoznania się ze swymi kolegami francuskimi; niewielki program wprowadzał Francuzów, w sposób zapewne niezupełny i fragmentaryczny (za wszelką bowiem cenę należało uniknąć zasadniczej „płyty” z uroczystą nudą, wyjaśnianiem od podstaw, rzutem oka na historię literatury polskiej i przynajmniej celebrowaniem) nie tyle w zagadnienia, co w atmosferę pewnych utworów. Artur Sandauer wygłosił odczyt o literaturze dwudziestolecia, podkreślając główne tendencje tego okresu i związki z kulturą francuską; Paul Cazin odczytał kilka swoich przekładów z Mickiewicza i Leśmiana; francuską poezję poświęconą Polsce reprezentowały wiersze Claudela; polską prozę dwudziestolecia rozdział z „Ferdynandem” Gombrowicza („Filidor dzieckiem podszyty”), przyjęty zresztą przez Francuzów z entuzjazmem. Kilka liryków Norwida („Daj mi wstążkę błękitną...”, „W Weronie”) we wspólnym przekładzie Julii Hartwig i młodego literata francuskiego, François-Régis Bastide'a, zamknęło część literacką. Nawiasem dodam, że zarówno pomysły, jak i cała żmudna praca związana z organizacją wieczorów, jest dziełem wspomnianych tłumaczy Norwida.

Muzyki było niestety niewiele; w Paryżu, z całej twórczości Szymanowskiego, znalazły się tylko „Harnasie” (fragmenty), co wyborczo potwierdza opinia Stefana Kisielewskiego o znakomitą propagandzie muzycznej Czechów (którzy potrafili sprzedać światu „Sprzedana Narzeczona” z zyskiem znacznie przekraczającym jej wartość), a bardzo niedostatecznej naszej (Szymanowski prawie nieznany i wcale niegrany w Paryżu). Zamiast więc projektowanego koncertu skrzypcowego, III Symfonii i Pieśni Kurpiowskich, usłyszeliśmy tylko kilka płyt z „Harnasiami”. Szkoda tym bardziej, że do Royaumont przyjechało kilku krytyków i kompozytorów współczesnych francuskich (Landowski, Martineau) i okazja do zaprezentowania Szymanowskiego była doskonała.

Dwa koncerty w Ambasadzie Polskiej w Paryżu, z nawiązką wyrównały tę stratę, pozwalając zaproszonym gościom nie tylko na zapoznanie się z kilkoma kompozycjami Szymanowskiego, ale również i z twórczością młodszych kompozytorów polskich, bawiących w tej chwili w Paryżu, na którą program koncertów kładł główny nacisk. Pierwszy koncert obejmował trio smyczkowe Romana Palestra, Sonatinę na obój i fortepian Antoniego Szafowskiego i Koncert na dwa fortepiany Michała Spissaka; drugi, kwartety smyczkowe Palestra i Szafowskiego, oraz wspomniane już utwory Szymanowskiego w wykonaniu Eugenii Umińskiej. Inicjatywa Ambasady, która organizując te koncerty okazała istotnie zrozumienie dla zadań rozumnej propagandy, zasługuje na najwyższe uznanie.

Wystawa prac polskich artystów plastyków przebywających w Paryżu, jest pierwszą po jedenastu latach. Skupiła przedstawicieli najrozmaitszych kierunków artystycznych, od impresjonizmu do surrealizmu i abstrakcjonizmu; najbardziej jednak widoczny jest zasięg wpływów tzw. „Ecole de Paris” i, jak słusznie podkreśla w swojej recenzji z wystawy Georges Pillement („Lettres Françaises”), artyści polscy znaczną w tworzeniu się tej szkoły odegrali rolę. Wystawiają Aberdam, Oleszkiewicz, Grabowski, Rennert, Król, Lille i in. Twórczość malarzy nieżyjących, a związanych z Paryżem reprezentuje kilka płócien Boznańskiej, Pankiewicza, Makowskiego, Zaka i Kramsztyka.

O podobnym zewnętrznym charakterze jak week-endy w Royaumont, są tzw. „semaines nationales”, organizowane przez dyrektorów Instytutu Nauk Kinematograficznych w Paryżu. Leona Moussinaca i Jeana Lods'a. Celem tych „tygodni” jest zbliżenie kulturalne przyszłych filmowców, studiujących w Instytucie (21 narodowości).

„Tydzień polski”, który poszedł na pierwszy ogień, był imprezą tak dalece udaną, że wywołał zainteresowanie tzw. czynników oficjalnych innych państw, zaś Ambasada Czeska

zażądała nawet „tygodnia” dla Czechów. Organizatorzy (expressis verbis Mariusz Margal), skorzystali z okazji, aby w ramach „tygodnia” przedstawić nie tylko osiągnięcia filmu polskiego, ale i zapoznać publiczność z najciekawszymi zagadnieniami polskiego życia współczesnego, zarówno w dziedzinie zjawisk kulturalnych jak i społecznych i gospodarczych. Fotografie, plansze, tablice i afisze, którymi były udekorowane sale Instytutu, spełniały rolę informatora, stanowiąc jednocześnie tło do programu dwu wieczorów. Pierwszy z nich, poświęcony zagadnieniom ściśle filmowym, zilustrowano krótkometrażówkami „Filmu Polskiego”. Dyskusja, która zawiązała się po odczycie przedstawicieli „Filmu Polskiego” w Paryżu, p. Korngolda, świadczy o dużym zainteresowaniu kół filmowych francuskich dla spraw polskich. Drugi wieczór miał charakter tzw. artystyczno-literacki. Tu znalazły się wiersze współczesnych poetów polskich, oraz pieśni ludowe w wykonaniu p. Ireny Joachim, śpiewaczki Opery Paryskiej. Książka Boullier profesor Instytutu Katolickiego w Paryżu, który tego samego wieczoru mówił o wrażeniach z pobytu w Polsce, zadziwił zebranych — ile że znane są poglądy księdza — obiektywnym i pełnym sympatii tonem swego przemówienia.

Niedługo po powrocie z Polski Eluarda, który na przyjęciu wydanym ku jego czci przez Amittię Franco-Polonaie, raz jeszcze zadokeumentował w krótkich słowach swój pełen głębokiej przyjaźni stosunek do Polski i zrozumienie problemów jej współczesnego życia. Paryż, jak zawsze z zalem, żegnał wyjeżdżającego na tournée po Polsce, Czechosłowacji, i Egipcie Louis Jouve'ta. „Szkoła żon” Mollie-ra, którą Jouve't zaprezentuje widzowi polskiemu, nie znalazła się w zagranicznym repertuarze tego teatru przypadkiem. Na wieczorze pożegnalnym, zorganizowanym przez Francuski Komitet Współpracy z Zagranicą, Jouve't podkreślił, że celem jego tournée jest zapoznanie zagranicy z klasycznymi sztukami francuskiego teatru, których inscenizacja opiera się na największym szacunku reżysera do tekstu, dystansie aktora do roli, a więc na koncepcji ściśle intelektualnej eliminującej wszelkie „wczucie się” czy „przeżycie” zarówno ze strony grających, jak i widza. Tendencje te, bliskie pewnym kierunkom we współczesnym teatrze polskim, pozwalają się spodziewać, że „Szkoła żon”, której wale-ry Jove't w wielkim wdzięku przypisuje tylko molirowskiemu tekstowi i pracy swego zespołu, spotka się ze zrozumieniem i aprobatą w Polsce.

Joanna Guze

W obronie wolnej Grecji

Nadchodzące z Grecji wiadomości o masowych egzekucjach i masakrach dokonywanych przez reżim ateński na demokratów i ludziach zasłużonych w walce z hitlerowskim okupantem wstrząsają głęboko sumieniem każdego człowieka, któremu drogie są idee sprawiedliwości społecznej i postępu. W szczególności my, przedstawiciele kultury i sztuki polskiej, narodu, który tak obficie zbroczył krwią pod żelazną stopą faszyzmu, musimy zaprotestować przeciwko pohańbieniu godności ludzkiej i kultury w kraju będącym ongiś kolebką myśli europejskiej.

Rząd ateński rozprawia się ze swoimi przeciwnikami politycznymi z bezwzględ-nyim okrucieństwem. Na słoneczną Grecję padł cień szubienicy, a wywalczona kosztem tyłu ofiar wolność błąka się po przepelnionych więzieniach i miejscach zesłania. Syła się krwawe ciosy na intelektualistów greckich, którzy nie solidaryzują się z systemem gwałtu i mordu. Władcy Aten dążą konsekwentnie do fizycznego wyniszczenia postępowej inteligencji greckiej.

Cóż może rzucić bardziej jaskrawe światło na bestialstwo tych metod, niż bezprzykładny fakt skazania na śmierć Beaty Kitsikis, chluby inteligencji swego kraju, żony sławnej sławy profesora Politechniki Ateńskiej. Spadkobiercy brutalnego faszyzmu odważyli się skazać na śmierć niezłomną bojowniczkę o wolność Grecji, matkę, która wraz ze swymi dwiema córkami walczyła z niemieckim okupantem. Skazano ją na śmierć za to, że była „niebezpiecznym przykładem”, że nie wyrzekła się swych demokratycznych przekonań! Na Beatę Kitsikis zapadł wyrok, ponieważ ucieleśnia ona odwieczną tęsknotę narodu greckiego za wolnością i sprawiedliwością, nadzieję ludzi dobrej woli, spragnionych pokoju i szczęścia.

Wzywamy przedstawicieli kultury i sztuki całego świata, których Grecja jest duchową ojczyzną, aby nie dopuścili do nowej zbrodni rządu ateńskiego. Wzywamy wszystkich, którzy walczyli przeciw hitlerowskiemu zbrod-

W sprawie „Dziejów głupoty”

Szanowny Panie Redaktorze, Czy pozwoli mi Pan — na łamach poczytnego swego tygodnika wyjaśnić pewne nieporozumienia, których ofiarą padli recenzenci moich „Dziejów Głupoty w Polsce”, mianowicie prof. Kiniewicz w „Dziś i Jutro”, a za nim i Jan Szczepański w „Kuźnicy” (nr. 17)? Ściśle mówiąc to ofiarą nieporozumień padłem ja, gdyż spowodowały one bardziej jeszcze niekorzystny sąd o książce.

„Nie będę powtarzał — pisze Szczepański — słusznej krytyki prof. Kiniewicza, zarzucającego Bocheńskiemu, że jego krytyka historyków nie dotyka najważniejszych prac z omawianego zakresu...”

A więc jednak — niepowtarzając — powtórzył. Nie stracę już wiele cytując parę zdań z artykułu.

„Jakich to historyków stawia pod pręgierz (Bocheński), za wodenie narodu na manowce? Lista długa, ale nie bardzo groźna... (tu nazwiska) ...to przecież nie uczeni, ale publicyści, żaden historyk ich twierdzeń bronić nie będzie. Balzer i Sobieski wielcy uczeni, nie byli znów specjalistami od 18 do 19 wieku, i sąd o epoce rozbiorów dla nauki jest mniej miarodajny. Z historyków specjalistów autor uznaje autorytet Kalinki, Bobrzyńskiego i Skalkowskiego godzi się na ogół z tezami Górki, Dembińskiego i Smolki, atakuje z dawniejszych pisarzy Lelewela i Hoffmana, z nowszych Smoleńskiego, Konopczyńskiego, Tokarza i Handelsmana. Ale o jakie to dzieła idzie? W przeważnej części o publikacje drobne, popularne, nie zaś, o rzeczy trwalsze w historiografii znaczenia...”

Jak widać Prof. Kiniewicz, a za nim, „nie powtarzając” — i recenzent „Kuźnicy”, zarzucają mi: 1) krytykę pisarzy i historyków o charakterze publicystycznym, 2) przy omawianiu historyków poważnych, pominięcie ich dzieł ściśle naukowych na korzyść bardziej popularnych.

Zarzuty te są oparte na nieporozumieniu. „Dzieje Głupoty” były pomyślane i napisane jako analiza sądów politycznych naszego dziejopisarstwa, i wpływu jakie wywarły na nastroje społeczeństwa. Im bardziej historyk zajmował się badaniem faktów bez wydawania sądów syntetycznych, tem mniej padał z samego już założenia pod moją analizę. Im bardziej pojmował swe zadanie politycznie, im większy rozgłos i popularność miała jego książka, tem większy miał wpływ na nastroje i wychowanie narodu, i tem więcej musiałem poświęcić mu uwagi. I tak Balzer ani słowem nie został skrytykowany za swoją „Genealogię Piastów”, czy wielotomowe dzieło ustrojowe. Ewentualne bowiem błędy w wyliczaniu córek Mieczysława I-go w żaden sposób nie kwalifikowałyby ocigodnego historyka do pocztu zamkniętego w I

tomie „Głupoty”. Natomiast dwie jego broszurki poświęcone przyczynom upadku Polski, stały się podstawą też Choloniewskiego „Ducha Dziejów Polski”, mściły się na nas przez długie ćwierćwiecze, i dziś jeszcze rodzą dzieci potworne, jak idealistycznych romantyków podających się za wyznawców Marksa, lub też mesjanistów gotowych ucho-dzić za... katolików. Zajęcie się dziełami politycznymi naszych dziejopisów w mojej książce jest tak oczywiste, że na innym miejscu dostrzegę je w całej pełni, Szczepański gdy pisze:

„I pamflety Bocheńskiego skierowane są nie przeciw historykom jako historykom, lecz przeciw historykom uprawiającym politykę”.

Gdyby w tym zdaniu, przed wyrazem „politykę” dodać wyraz „złą”, byłbym w zupełnej zgodzie z Szanownym moim Polemistą.

Zaczyna się tu bowiem drugie nieporozumienie. Znowu bardziej Prof. Kiniewicza niż Szczepańskiego. Dowodzenie, jakoby historyk nie powinien wygłaszać sądów politycznych.

Dowodzenie takie jest nieporozumieniem dlatego, że analogie historyczne mogą być tak silne, że wszelka konstrukcja wykazująca genezę takiej to klęski czy takiego to zwycięstwa mieć może wpływ polityczny, i wpływ taki nieraz miewa. Bobrzyński w jednym kierunku, Askenazy w innym, konstrukcji takiej używali świadomie. Ale ani nieświadomości, ani też ścisły obiektywizm nie może uchronić historyków od tego, by naród z ich książek uczył się polityki. Z właszą szarą naród, który od 200 lat nie miał porządnej kancelarii politycznej, i zdany był na wykształcenie przez historyków, lub częściej jeszcze przez poetów i powieściopisarzy.

Historia bowiem, — jak powiedział Freeman — jest minioną polityką, a polityka jest bieżącą historią.

Ostatnie co jest do wyjaśnienia, to rola jaka przypada w nauce historii przyczynkarzom z jednej strony, syntetykom z drugiej. Parę słów na ten temat jest koniecznym uzupełnieniem mojej powyżej wyłożonej tezy. Otóż sądzę, że przyczynkarzy uważać można za producentów surowca, syntetyków zaś za architektów niejako, tworzących z tego surowca gmach syntez historycznej. Co wyda, je się zdumiewającym, to powszechne w tej dziedzinie wymaganie, by strycharz wyrażający cegły mógł być i architektem, — architekt zaś by musiał strawić dziesiątki lat nad produkcją cegły czy cementu. Te dwie role wydają mi się dalekie od siebie, jeśli nie sprzeczne. Aby zbierać fakty, trzeba mieć dużo wykształcenia, rutyny i pracowitości. Ale aby być syntetykiem trzeba przede wszystkim być obeznanym z polityką bieżącą, mieć praktykę polityczną.

Dzieje pedagogii napisze najlepiej pedagog. Pozwólmy, by dzieje rzemiosła politycznego spoczywały w rękach tych, którzy są z tą dziedziną obeznani. Może wtedy nie pociągłobyśmy tak krwawej hekatomba za nierozsądną nauki, jakimi karmili nas nasi wierszopisci, literaci, a przede wszystkim — analizowani w „Dziejach Głupoty” historycy.

Aleksander Bocheński

Derek Kartun jest korespondentem API!

Szanowny Panie Redaktorze!

Nawiązując do „Noty” pt. „Nasz korespondent donosi...” (Kuźnica Nr 18 z 2.V.1948) uważam za swój obowiązek zakomunikować, że korespondencję Dereka Kartuna (a nie Kartuma) i Regnisa zostały przesłane „Dziennikowi Łódzkiemu” przez Agencję Prasowo-Informacyjną API.

Obaj ci autorzy są stałymi korespondentami naszej Agencji obok Cockburna, Watsona, Bolsovera — w Wielkiej Brytanii, Courtade'a, Leduca, Wurmsa, Chauffier'a, Mounier — we Francji, Lamberto Sorrentino, Felice Chiantini — we Włoszech i wielu innych.

Korespondencja Dereka Kartuna została przełożona z angielskiego, ponieważ jednak była napisana specjalnie dla API nie można jej w żadnym wypadku nazwać „przekładem z angielskiego”.

Korespondencje wszystkich zagranicznych współpracowników API są zastrzeżone wyłącznie dla prasy „Czytelnika”, czyli korespondencje Kartuna i Regnisa były w pewnym sensie korespondencjami własnymi „Dziennika Łódzkiego”.

Niektóre dzienniki dla uniknięcia nieporozumień podają „korespondencja specjalna API dla...” (nazwa dziennika).

Krótkie życiorysy i podobizny wielu korespondentów zagranicznych API były rozsyłane i zamieszczone w prasie.

Z koleżeńskim pozdrowieniem

Stefan Świerżewski

Naczelny Redaktor API (a nie API)

TREŚĆ NR 20:

Georg Lukacs — Wartość realizmu; Julia Hartwig — Wiersze; Jacek Bocheński — Problemy akcji czytelnico-bibliotecznej; Kazimierz Brandys — Wstrząsnięcie przed użyciem; Ryszard Matuszewski — Jeszcze w sprawie świetle; Stanisław Wygodzki — Obywatel (opowiadanie); Zygmunt Kalużyński — Czy potrzebujemy powieści moralizatorskiej?; Adolf Sowiński — Poezja Jarosława Iwaszkiewicza; Mariusz Margal — Przedśkołe krytyków filmowych; Seweryn Pollak — Krakowski „Teatr Rapso-dyczny” na nowej drodze; Jerzy Ziomek — Powieść o lekarzu na froncie; Korespondencja; Przegląd prasy; Noty.

Do powyższego dołączają swoje podpisy następujący pisarze:

- (—) Kazimierz Brandys
- (—) Stanisław Bruc
- (—) Stanisław Dygat
- (—) Bolesław Dudziński
- (—) Leon Gomolicki
- (—) Paweł Hertz
- (—) Mieczysław Jastrun
- (—) Jan Kott
- (—) Ryszard Matuszewski
- (—) Seweryn Pollak
- (—) Adolf Rudnicki
- (—) Adolf Sowiński
- (—) Jan Spławak
- (—) Adam Ważyk
- (—) Juliusz Żulawski

Koty

Znowu sprawa Maurassa

„Les Lettres Françaises” z dnia 6 bm. poświęcają wstępny artykuł sprawie Maurassa, pisarza-kollaboracjonisty i monarchisty z przekonania, skazanego w roku 1945 na długoletnie więzienie. „Po utworzeniu Honorowego Komitetu walki o uwolnienie marszałka Pétaina — czytamy — dają się słyszeć okrzyki: „Sprawiedliwości dla Maurassa!”

„Niektórzy — czytamy dalej — chcą dziś bronić Maurassa pomimo jego postawy z czasów okupacji, podczas gdy inni bronią go z powodu tej postawy. Niektórzy bronią go pomimo jego poglądów, inni z powodu jego poglądów. Niech nas to nie myli: są po prostu tacy ludzie, którym zależy na sianiu zamętu...”

„Zakończony skazaniem Maurassa proces lyoński ze stycznia 1945 r. był dokładnym przeciwieństwem procesów, toczonych pod naciskiem opinii publicznej. Trybunał nie czerpał dowodów winy z doktryn oskarżonego, ale zadowolili się obwinieniem go o czyny przestępcze: o bezlitosne postępowanie wobec członków Ruchu Oporu, sądy wojenne nad partyzantami, domaganie się aresztowania i stracenia zakładników...”



„Uwolnienie i rehabilitacja Maurassa — konkludują „Les Lettres Françaises” — urągająby zdrowemu rozsądkowi i stanowiłyby zniewagę dla wszystkich, którzy cierpieli i umarli za Francję pod rządami Vichy na skutek tych rządów. Jeżeli rehabilitować, to tylko sprawy sprawiedliwe i ludzi uczciwych. Bo gdy zrehabilitujemy dziś Pétaina, a jutro Maurassa, to czy nie wypadnie będzie zrehabilitować pojutrze... Hitlera?”

Koty i plan Marshalla

„Doniosła już prasa angielska, że Amerykańskie Stowarzyszenie Kociarzy (!) — American Feline Society postanowiło przyłączyć się do planu Marshalla pomocy Europie przez wystanie jednego miliona kotów. Cel — radykalne załatwienie się z gryzoniami, które niszczą dziesiątki tysięcy ton i tak już szczerupych zapasów zboża europejskiego.



Tymczasem projekt został storpedowany przez nacelną organizację amerykańską opieki nad zwierzętami. Z całą powagą i typową dla zawodowych humanitarystów brakiem poczucia humoru wspomniane towarzystwo oświadczyło:

Koty nasze są przyzwyczajone do doskonałego odżywiania amerykańskiego, nie mogłyby więc poprzestać tylko na szczerach. Żądałyby przeto dodatkowych ilości wyżywienia, których im wygłodniała Europa nie jest w stanie dać.

W liście do Redakcji „New York Times” p. Sabatini wysuwa jeszcze inne, bardzo poważne zastrzeżenie przeciwko tej formie pomocy dla Europy.

„Swoją sprzeciw opieram na obawie, by te zwierzęta nie zostały wydane na rzeź, gdy się znajdą w rękach głodnych i zmarzniętych Europejczyków. Mają oni dziś w Europie mało kotów, psów i innych podatnych ulubieńców (edible pets) ponieważ że ludzie zjeżdżili i, o ile tylko mogli, użyli skórek na futra. Koty są delikatnymi i szlachetnymi zwierzętami i nie zasługują na taki los. Zależy mi się, że cywilizacja robiłaby szybsze postępy, gdyby ludzie nauczyli się postępować raczej jak koty, niż jak szczury...”

Epifanizm

„Les Lettres Françaises” z dnia 29 kwietnia b.r. donoszą o zabawnym „wydarzeniu kulturalnym” w Paryżu:

„Nowa szkoła literacka pod nazwą epifanizmu urodziła się w tym tygodniu ze złych dzieł panów Perruchota i Ragona, ojców bliżej nieznanych. Niemowlę zostało



ochrzczono w kawiarni „Bonaparte” pod znakiem „walki o sumienie, o mistykę, czystość i o zejście z nieba na ziemię”. Uroczystościom asystował tłum pięciu czy sze-

ściu znakomitych epifanistów... Sartre, którego uprzednio pytano o słuszność podstaw ideologicznych sprawy, oświadczył, że umywa od wszystkiego ręce...”

Ostrzegamy egzystencjalistów. Epifanizm to świętokradztwo. Epifanizm to konkurencja.

Towarzysze broni

Senator Taft oświadczył tu na wiecu przedwyborczym, że gotów jest do sojuszu „z każdym przeciwnikiem komunizmu”. Na pytanie jednego ze słuchaczy Taft wyjaśnił,



że powitałby z zadowoleniem Hiszpanię Franco w szeregach „wspólnego frontu walczących z komunizmem” ponieważ „faszyzm nie przedstawia już dzisiaj żadnego zagrożenia wolności...”

Kłamstwo z premedytacją

W numerze 18 „Kuźnicy” z dnia 2 bm. Adolf Sowiński omówił tomik poetycki Gisgesa wydany w Kielcach przez tamtejszy Klub Literacki. Już sam fakt zainteresowania się publikacją mało dla krytyka efektowną, bo nie mającą żadnych danych po temu,

aby wypłynąć na szeroki rynek księgarski, jest dostatecznym dowodem, że autor wymienionej recenzji ocenia pozytywnie twórczość kulturalną na prowincji i z zadowoleniem notuje zjawisko spoza głównego nurtu literackiego, skoro zjawisko to nie okazało się plodem grafomanii. Ale nie na tym koniec. Sowiński poprzedził swoją recenzję krótkim wstępem, w którym ubolewa, że powojenny okres decentralizacji kultury polskiej tak szybko się skończył i że znowu — niestety — prowincja polska stała się prowincją, żyjącą odbłaskiem kilku dalekich ośrodków. We wstępie znajdujemy ponadto ciepłe słowa o atmosferze kulturalnej Kielc, po czym dopiero następuje właściwa część recenzji.

Tymczasem co z tego zrobił podpisany literami a. g. „uczciwy” autor „Przeglądu prasy” w numerze 118 „Słowa Powszechnego” z dnia 1 maja br.? Oto beceremonialnie odwrócił sprawę, przypisując Sowińskiemu rzekomą radość z tego powodu, że na prowincji



„wszystko poczęło zacięchać”. I powypisywał mnóstwo kaznodziejskich bzdur na temat szkodliwości tego rodzaju wypowiedzi.

Ten katolik na pewno nie chodzi do spowiedzi, skoro nie uważa kłamstwa za grzech i popełnia je z premedytacją. Wolimy katoli-

PRZEGLĄD PRASY

W TYM tygodniu rozpocząłem lekturę od nr. 19 „Odrodzenia”. Przyznam, że nie posunąłem się poza pierwszą stronę, a to dlatego, że właśnie na pierwszej kolumnie znalazłem tyle materiału do namysłów i rozważań, iż wolałem im raczej czas poświęcić, niż czytaniu reszty numeru, gdzie znaleźć można: Ksawerego Pruszyńskiego „Ziemie święte Justa”, wiersz Jana Spiewaka pt. „Elegia”, artykuł Edmunda Osmańczyka „Berlin — wyspa nieznana”, dalszy ciąg prozy Wojciecha Zukrowskiego, fragment prozy sowieckiego pisarza Pawlenki „Rozmowa o urzędnicach”, pracę o błędach językowych Henryka Korotyńskiego, opowiadanie Anny Kowalskiej „Wdowa”, wywiad z pisarzem czeskim Wacławem Rzeżaczem, recenzję Józefa Maślińskiego z „Szekspira” Adolfa Rudnickiego oraz kroniki i przeglądy stałe. Wymienię treść całego numeru „Odrodzenia” po to, by na tle tak bardzo różnorodnym tym lepiej uwypuklić moje zainteresowanie dla pierwszej kolumny. Dlaczego tak zajęła mnie pierwsza kolumna i dlaczego, jak sądzę, powinna zainteresować ona każdego czytelnika? Odpowiedź będzie krótka — na pierwszej kolumnie wydrukowano dwa artykuły o sprawach sumienia. Mój czytelnik przetrze pewnie oczy, myśląc że czyta kronikę w „Tygodniku Powszechnym”. Powtarzam — artykuły Maksyma Gorkiego i Emanuela Mouniera poświęcone są sprawie sumienia świeckiego.

Ponieważ obie prace — fragment listu Gorkiego pisany w roku 1931 i artykuł Mouniera „Wojownicy nadziei” polemizują ze sobą w swojej treści ideologicznej, więc czuję się zwiniony z obowiązku polemizowania, wystarczy, jeśli oba je streszczę. Ponieważ artykuł Mouniera jest pisany w roku 1948, zaś fragment listu Gorkiego, wydrukowany w „Odrodzeniu” pod tytułem „Odpowiedź intelektualistów” był pisany w roku 1931, więc pozwolę sobie odwrócić chronologię i omówić z początku artykuł redaktora „Esprit”. Mounier, przywódca grupy personalistów katolickich, którzy, jak sądzę, są w tej chwili najuczciwszą z tych grup intelektualistycznej Francji, jakie znajdują się poza sferą organizacyjnego związania z marksizmem, stwierdza, że intelektualiści Europy Zachodniej ulegają ideom rozpaczli. Katastrofizm, egzystencjalizm, eschatologia świecka triumf wśród pisarzy i myślicieli. „Wrażenie, że wielkie siły — mówi Mounier — wymykają się kontroli jednostek i niekiedy państw nawet, kierują historią świata, zaciążyła nad świadomością zbiorową cieniem fatalizmu...” „Temu fatalizmowi i ideologii niewiary nie oparli się nawet katolicki pisarze. Bernanos jest auto-

rem książek niezapomnianych i nie mamy powodu o nich zapominać z powodu tych głupstw, jakie wypisuje od trzech lat”. Mowa tu o stanowisku tego świętego pisarza, który nawołuje do ucieczki od świata maszyn, czyli do powrotu w zarofane okresy gospodarcze. Mounier jest uczciwy, gdy mówi: „Pierwszą zasadą mojego bractwa będzie, abyśmy wzięli na siebie, nie starając się od niej uciec, całą beznadziejność naszego świata, nie należy pomniejszać niepokoju ludzi naszych czasów”. Są jednak tacy, twierdzi Mounier, którzy o nadzieję walczą. „Któż to dziś podtrzymuje poczucie nadziei? Niemal wyłącznie ci z socjalistów (lub komunistów) i chrześcijan, którzy mają wiarę czynną”. Mounier wskazuje, że utrata wiary czynnej czyli zatarcie nadziei, następuje w określonych epokach historycznych: „Rozczarowanych znajdujemy wśród Rzymian późnego cesarstwa, wśród libertynów kończącej się monarchii lub sceptyków chylącej się do upadku burżuazji. Nie znajdujemy ich między pierwszymi chrześcijanami ani wśród burżuazji w okresie jej rozkwitu, ani u młodych mas socjalistycznych”. Mounier jest katolikiem i dlatego czerpie swój optymizm z wiary. W tym miejscu droga czytelnika niewierzącego lub raczej wiedzącego, że moralne odrodzenie człowieka może nastąpić tylko w ściśle określonych warunkach historycznych, co wobec niemożliwości powrotu do epoki pierwszych chrześcijan, ani też do epoki rozkwitu młodej burżuazji, może oznaczać jedynie takie warunki historyczne, w których do głosu dochodzą młode masy socjalistyczne, otóż w tym właśnie miejscu droga katolickiego czytelnika i droga Emanuela Mouniera rozchodzą się ostatecznie. Mounier, który sam określa epoki nadziei i wie napewno, że dwie z nich są zamknięte, a tylko trzecia stoi otworem, nie wyłącza ostatecznych wniosków ze swojego rozumowania poprzedniego i zacierania w ten sposób istotne granice strefy nadziei i rozpacz.

Zamiast niego wyznacza je Gorki w swoim liście do intelektualistów, pisany w roku 1931. Pozostawiam czytelnikom lekturę tego listu, cytując jedynie następujące zdanie: „Państwo klasowe skonstruowane jest na wzór zoologicznego ogrodu, gdzie zwierzęta siedzą w żelaznych kłatkach. W państwie klasowym skonstruowano więcej lub mniej zrzeczenie klatki pojęć, które sztucznie dzielą ludzi, uniemożliwiają rozwój indywidualnego uświadamiania sobie własnych interesów i stworzenie jednolitej, prawdziwie ludzkiej kultury...”

ków praktykujących, albo raczej chcielibyśmy ich nareszcie widzieć poza kościołem, w dyskusji i polemice publicznej.

Im

Zasługi wydawców

Niema co ukrywać, że stan naszych wydawnictw w zakresie dzieł pomocniczych — encyklopedie, leksykony ect. — jest zawstydzająco zły. Niema ani jednej encyklopedii choćby podręcznej, ani jednego słownika geograficznego, ani jednego leksykonu. Zresztą nigdy nie byliśmy zasobni w takie wydawnictwa.

Te dzieła, które ukazały się lub ukazują na rynku księgarskim, są podobno mało kupowane. Niedawno o zastraszająco niskiej liczbie prenumeratorów kapitalnego „Słownika Bibliograficznego” pisał zdaje się Gołubiew. Nikt nie podejmuje choćby przedruku tak doskonałych prac jak Olszewicza spis pamiętników dotyczących historii Polski, jak słownik ortopedyczny czy etymologiczny Brücknera, nie mówiąc już o takich wydawnictwach, które w związku ze zmianami terytorialnymi wymagają poważnych uzupełnień, jak Słownik Geograficzny.

Wszystko pozostaje jeszcze do zrobienia i należy mieć nadzieję, że poważne wydawnictwa spółdzielcze pójdą choćby w ślady prywatnej inicjatywy przedwojennego wydawnictwa „Trzaski, Ewerta i Michalskiego”, które samo stworzyło bibliotekę podstawowych dzieł pomocniczych, zapewne zarabiając na tym sporo.

Tymczasem jednak chwalmy to, co mamy. Otrzymałem przed kilku dniami gruby tom Piotra Kropotkina „Wielkiej Rewolucji Francuskiej” w starannym przekładzie porządnie wydany przez małego „Czytelnika” krakowskiego i „Słowo”. W „Książce” w cyklu wydawnictw z zakresu klasycznej literatury marksistowskiej ukazał się Jerzego Plechanowa „Przyczynek do monistycznego pojmowania dziejów”, również bardzo starannie wydany.



Biblioteka Narodowa, wydawana przez Ossolineum, bardzo powoli wznawia swoje sto dwadzieścia pięć pozycji, które były wydane do września 1939 roku, a obejmowały całą polską literaturę klasyczną. Zaledwie sześć pozycji jest w sprzedaży. Zato ukazał się przed kilku dniami nowy tom Biblioteki, poświęcony Wiosnie Ludów na ziemiach polskich. Opracowany przez Stefana Kieniewicza „Rok 1848 w Polsce”, 127 numer kolejnej Biblioteki Narodowej, jest doskonałym przeglądem kierunków politycznych i historycznych faktów tego okresu. Wydawnictwo to wydaje mi się wzorowe i powinno służyć przykładem rozsądnej aktualizacji i popularyzacji. Miejmy nadzieję, że działalność wydawnicza Ossolineum w ogóle, a Biblioteki Narodowej w szczególności, obejmujące klasyczne teksty naszej literatury zarówno pięknej jak i historycznej, będą najlepszym środkiem upowszechnienia kultury w odpowiednio zorganizowanych bibliotekach i w polaczeniu z rozsądnym programem oświatowym.

ph.

Wyjaśnienie

W numerze 18 „Kuźnicy” ukazała się notatka, z której wynikało, że ob. Daszewski zajął bezprawnie willę w Grotnikach, dzierżawioną przez Związek Zawodowy Literatów Polskich Oddział w Łodzi.

Według dalszych ustaleń okazało się, że ob. Daszewski nie był dostatecznie poinformowany przez wojska o faktycznym stanie rzeczy i działając w dobrej wierze zawarł umowę dzierżawną z gminą.

Ponieważ Związek Literatów nie miał zamiaru zrezygnowania z dzierżawy, przeto po wyjaśnieniu ob. Daszewski uznał wcześniej nabyte prawa i willę oddał.

W tym stanie rzeczy podniesiony zarzut bezprawnego zajęcia willi całkowicie odpada.

rdc

ph.

KSIAŻKI NADESŁANE

Almanach Literacki Oddz. Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich, wyd. z zasłuki Centralnego Instytutu Kultury, Kraków 1948, str. 244.

Witold Doroszewski: Rozmowy o języku, nakł. Radiowego Instytutu Wydawniczego, 1948, str. 234.

Herman Melville: Bestia morska (powieść), nakładem wydawn. Eugeniusza Kuthana, Warszawa — Kraków 1948, str. 231.

Rok 1848 w Polsce (wybór źródeł), oprac. Stefan Kieniewicz (Biblioteka Narodowa Nr 127), seria 13, nakł. Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław 1948, str. 350.

Jack London: Opowieści mórza polutniowych, nakł. wydawn. Eugeniusza Kuthana, Warszawa — Kraków 1947, str. 212.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”. Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik”

REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.

Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42

CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpalcie 40 złotych.

WARUNKI PRENUMERATY:

Miesięcznie zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960.—. Należność za prenumeratę należy wpłacać do P.K.O. konto VII-567 „Prenumerata Kuźnicy”.

D-019793 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, zwirki 2.